

Krakowska Prowincja Karmelitów Bosych
Archiwum

Biuletyn misyjny

Nr 4

MISJE KARMELITAŃSKIE

**Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych**

KWIECIEŃ - MAJ - CZERWIEC 1972

L U B L I N

S P I S T R E Ś C I:

Od Redakcji,

INTENCJE MISYJNE

- Kwiecień – O wzrost powołań kapłańskich w młodych Kościołach
- Maj – By w ewangelizacji narodów szukano pomocy MATKI BOŻEJ
- czerwiec – By miłość Chrystusa przepajała rodzime kultury

I. MISYJNY WYMIAR CIERPIENIA:

1. Cierpienie jest naszym nieodłącznym towarzyszem
2. Cierpienie ma sens pozytywny

3. Tajemnica cierpienia jest więc jego zjednoczeniem z Chrystusem
4. Ofiary krzyża i cierpienia potrzebują dziś przede wszystkim misjonarze
5. Do ofiarowania cierpień za misje zachęcają nas wszyscy ostatni papieże

II. ŚW. TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS PATRONKĄ MISYJNEGO DNIA CHORYCH

III. MODLITWA POWSZECHNA NA MISYJNY DZIEŃ CHORYCH

IV. WIADOMOŚCI MISYJNE:

V. LISTY MISJONARZY Z BURUNDI:

VI. WYTYCZNE W PRACY NA ROK 1972 - dla Dyrektorów diecezjalnych i zakonnych PAPIESKICH DZIEŁ MISYJNYCH

VII. MODLITWA MISJONARZA -

O. KASJANA z RUMEZA

OD REDAKCJI

Czwarty numer Biuletynu wydajemy z okazji **MISYJNEGO DNIA CHORYCH**, który w tym roku wypada 21 maja.

Idea Misyjnego Dnia Chorych zrodziła się w Karmelu, w Lisieux. Dała mu początek św. Teresa, słynnym już dzisiaj „spacerem” na intencję jednego z misjonarzy.

Myśl Świętej podjęli aktywiści misyjni w Holandii po Jej kanonizacji w roku 1925. **W dzień Zesłania Ducha Świętego powstał projekt, aby w dniu narodzin Kościoła, zachęcać wszystkich chorych na świecie, by za przykładem św. Teresy od Dzieciątka Jezus, ofiarowali swoje cierpienia i krzyże za dzieło misyjne Kościoła.**

We Włoszech po raz pierwszy obchodzono Misyjny Dzień Chorych w 1931 roku, kiedy to przeszło 7000 chorych różnego wieku i stanu pozytywnie odpowiedziało na wezwanie do współpracy z misjonarzami.

W następnym roku liczba ta wzrosła do 200 000. Specjalne nabożeństwa misyjne odprawiano w 300 szpitalach.

Ówczesny Ojciec św., nazwany Papieżem Misji, Pius XI, wypowiedział się z wielkim uznaniem o tej inicjatywie i wyraził życzenie, aby szczęśliwie rozpoczęte dzieło prowadzić dalej.

I tak Rada Naczelna Papieskich Dzieł Misyjnych postanowiła, aby od **1935 roku Zielone Święta obchodzić w całym Kościele jako szczególny Dzień Cierpienia dla Misji.**

R E D A K C J A

Lublin, kwiecień 1972 r.

INTENCJE MISYJNE

Kwiecień 1972

O WZROST POWOŁAŃ KAPŁAŃSKICH W MŁODYCH KOŚCIOŁACH

Brak kapłanów odczuwa się coraz ostrzej w całym Kościele, lecz problem ten przybiera szczególnie szerokie rozmiary na misjach. Dzieje się tak nie tylko z racji malejącego dopływu misjonarzy zagranicznych, ale i na skutek wzrastania potrzeb duszpasterskich w tych krajach i formowania się w nich kościołów rodzimych.

Zadaniem kapłanów rodzimych jest przy współpracy z miejscowym laikatem, nadanie swoim Kościołom oblicza opartego na własnej kulturze. W ten sposób przyczynią się oni do wrośnięcia wiary Chrystusowej w rodzimą glebę, a młodym wspólnotom pomogą do zachowania własnego rodzinnego oblicza. To nadzwyczaj trudne zadanie należy wspierać modlitwą ze strony całego Kościoła.

Maj 1972

BY W EWANGELIZACJI NARODÓW SZUKANO POMOCY MATKI BOŻEJ

Kult Najświętszej Maryi Panny jest dziś często źle rozumiany i dlatego się go zaniedbuje. Uważa się go jedynie za jakąś ozdobę naszej religii, czyli jako sprawę prywatną, której przyjęcie należy pozostawić uznaniu poszczególnych jednostek, a nieraz nawet traktuje się jako zbędny dodatek do naszej wiary, który nie odpowiada współczesnej mentalności i naszemu nowemu spojrzeniu na wiarę.

Inaczej myśli o Matce Bożej Kościół. W ósmym rozdziale Konstytucji o Kościele Sobór mówi obszernie o Najświętszej Maryi Pannie, o Jej stosunku do Kościoła oraz Jej miejscu w ekonomii zbawienia. Dla umocnienia tej nauki, Paweł VI ogłosił uroczyste Maryję – Matką Kościoła.

Nauka Kościoła głosi, że moc wstawiennictwa Najświętszej Panny przewyższa wstawiennictwo innych świętych. Polega ono na tym, że Maryja modli się za nas, a także w zakresie wyznaczonym Jej przez Boga czyni nam dobrze i wspomaga nas. Wstawiennictwo jest specjalnym zadaniem Maryi, które sprawuje Ona nieustannie z racji Boskiego Macierzyństwa, z którego z kolei wyrasta Jej Macierzyństwo duchowe względem całej ludzkości.

Maryja bowiem, jak służyła Wcielonemu Słowu, będąc Jego „szlachetną towarzyszką i pokorną Służebnicą”¹, tak służy historycznemu Chrystusowi będąc „typem Kościoła” w

porządku wiary, miłości i doskonałego zjednoczenia z Chrystusem² oraz wstawia się u Syna Swego, dopóki wszystkie rodziny ludów, zarówno tych, które noszą zaszczytne imię chrześcijańskie, jak i tych, co nie znają jeszcze swego Zbawiciela, nie zespolą się szczęśliwie w pokoju i zgodzie w jeden Lud Boży na chwałę Przenajświętszej i nierozdzielnej Trójcy”³. „Stąd też i w swojej apostołskiej działalności Kościół słusznie ogląda się na Tę, co zrodziła Chrystusa... aby przez Nią Kościół także w sercach wiernych rodził się i wzrastał”⁴.

Dlatego Maryja wywiera szczególny wpływ na ewangelizację narodów. Prośba też o wstawiennictwo Matki Boga i Matki Kościoła jest najlepszym i niezbędnym środkiem, by uczynić skutecznym dzieło ewangelizacji. Ta forma kultu prowadzi z konieczności do tego, by prosić o pomoc i wstawiennictwo Maryi, tak dla wzrostu całego Kościoła, jak i dla wzrostu osobistego życia wewnętrznego. Kościół bowiem już osiągnął w Maryi swą doskonałość⁵. Poznanie Jej świętości skłania do naśladowania i zachęca chrześcijan, by w staraniu o własne uświęcenie zwracali się o pomoc do niebieskiej Matki.

Czerwiec 1972

BY MIŁOŚĆ CHRYSTUSA PRZEPAJAŁA RODZIME KULTURY

Dekret Misyjny zachęca, by chrześcijanie uznali wartość narodowych i religijnych tradycji ludów, wśród których żyją. „Niech z radością i czcią wyszukają ukryte w nich ziarna Słowa... niech dowiadują się, jakimi bogactwami szczodroliwy Bóg obdarzył narody, równocześnie zaś niech usiłują owe bogactwa rozjaśnić światłem Ewangelii, wyzwalając i oddawać pod władzę Boga Zbawiciela.”⁶

Już Ojcowie Kościoła mówili o tych pozostawionych „śladach Słowa”, pragnąc wykazać, że kultura pogańska, jeśli oczyści się ją z błędów, może służyć jako naturalne podłoże, na którym rozwijać się będzie religia Chrystusowa. Kościół nie chce żadnemu narodowi narzucać obcej kultury, lecz pragnie dopomóc, by w oparciu o bogactwa własnych tradycji mógł na własny sposób wyrażać tajemnice Chrystusowe.

MISYJNY WYMIAR CIERPIENIA

1. Cierpienie jest naszym nieodłącznym towarzyszem .

2 KK, 63

3 KK, 69

4 KK, 65

5 KK, 65

6 DM 11

Jak długo człowiek istnieje, otacza go ból i cierpienie. Cierpienie posiada wśród nas prawo obywatelstwa. Wiele dni życia przygniata nas swoją szarzyzną i jakże często wyrasta przed nami nieoczekiwany krzyż – krzyż długotrwałej choroby, czy strasznych doświadczeń. Całym jestestwem naszym bronimy się, gdyż nie mamy odwagi wziąć tego krzyża na swoje barki. Czujemy, że nie mamy dosyć sił. Mimo to gdy cierpienie nas przygniecie, musimy się starać, aby je znieść.

2. Cierpienie ma sens pozytywny.

Choroby i cierpienia nie są czymś negatywnym, pasywnym tylko, ale są czymś pozytywnym, aktywnym. Nie są one zwykłym zniszczeniem, żadną słabością, ale są działaniem, czynnością dowodzącą siły, są bronią duchową. Choć chory na zewnątrz wygląda słaby i złamany, to jednak promienieje z niego potężna siła, która jest tym większa, im większa jest jego słabość.

Cierpienia nie można jednak ujmować w kategoriach czysto osobistych. Trzeba w nim dostrzec wartości społeczne. O wiele bardziej należy je zwłaszcza włączyć w społeczność Mistycznego Ciała Chrystusa. Czas cierpienia nie jest czasem bezużytecznym, straconym. Nie będzie tak zwłaszcza wtedy, gdy człowiek doświadczony chorobą lub innym krzyżem, cierpieć będzie apostołsko wraz z Chrystusem, to znaczy ofiaruje swoje cierpienia za zbawienie świata. Przez słowa można ludzi pouczyć i pokierować nimi, ale zbawić można drugiego tylko przez ofiarę i cierpienie. Stąd apostołskie cierpienie tworzy najwyższe wartości. Cierpienia, które są zjednoczone z Chrystusem, mają u Boga wielką siłę zadośćuczynienia i prześlągnięcia. Tworzą w Kościele skarb, którym można nie tylko siebie, ale i innych bogacić i prawdziwie apostołować.

3. Tajemnicą cierpienia jest więc jego zjednoczenie z Chrystusem.

Przez swoje cierpienie nie tylko mamy naśladować Chrystusa, ale być Jego pomocnikami w zbawianiu świata. Oto co mówi Papież Paweł VI na ten temat: „Czy możliwe jest naśladowanie cierpiącego Chrystusa? Otóż można by powiedzieć, że Chrystus chce nam dać lekcję cierpienia właśnie po to, żeby nie pozostać osamotnionym. Chrystus chciał uczynić swą Mękę tak wymowną i wzruszającą przede wszystkim dlatego, aby mieć uczniów, więcej – by mieć współtowarzyszy, „Cyrenejczyków”. Według św. Pawła trzeba, żebyśmy stali się zdolni do uzupełnienia w swoim ciele Męki Chrystusa⁷. A na innym miejscu powiada: „Wiążąc nasze życie z tym drzewem błogosławionym, wyschniętym i nagim, nie wiążemy się z martwym drzewem. Wiążemy się z drzewem życia, z drzewem, które nosi źródło życia, Jezusa Chrystusa”.

4. Ofiary krzyża i cierpienia potrzebują dziś przede wszystkim

misjonarze.

Najbardziej zasługującym i najpilniejszym apostołstwem jest ofiarowanie swych cierpień za postęp dzieła misyjnego. Bowiem dziś, kiedy człowiek tak bardzo zaufał technice i swemu bogactwu, tym bardziej trzeba sobie uświadomić, że zbawienie świata bardziej uzależnione jest od nadprzyrodzonej pomocy modlitwy i cierpienia, niż od środków materialnych. Ponadto przeciętny katolik jest, niestety, w swej pobożności nastawiony zbyt egoistycznie. Brak mu zrozumienia dla dobra całego Kościoła. Za mało doświadczył, że najwyższy i ostateczny sens życia w zdrowiu i w chorobie to chwała Boża i współpraca nad urzeczywistnieniem Królestwa Bożego w nas, dokoła nas i aż po krańce ziemi.

Misyjny Dzień Chorego przypomina nam te właśnie wartości życia i pobożności chrześcijańskiej. Wszystkie nasze cierpienia mamy ofiarować w intencji rozszerzania Królestwa Bożego na ziemi. Tego oczekuje od każdego chrześcijanina Chrystus i Kościół w dniu Zielonych Świąt. Bo to „dzień cierpienia dla misji”. Nie jest to ofiara jednostronna. Sama możliwość współpracy z Chrystusem jest nagrodą. Im cięższe jest nasze życie, im bardziej przewlekła i obłożna choroba, tym bardziej świadomość, że można działać apostołsko, podniesie każdego cierpiącego na duchu i pozwoli przezwyciężyć gorzkość szarości dnia codziennego. Razem ze św. Pawłem można wtedy powtórzyć: „Teraz raduję się w moich cierpieniach”⁸. Łącząc swoje cierpienia z Chrystusem nie cierpi się samemu, nie cierpi się bezowocnie, ale dla zwycięstwa dobra na świecie.

5. Do ofiarowania cierpień za misję zachęcają nas wszyscy ostatni papieże.

Już **Pius XI** polecił wprowadzić **Misyjny Dzień Chorych** w całym świecie katolickim. **Pius XII** przypominał **wysoką wartość godzin cierpienia i prosił chorych, by je owocnie wykorzystywali**. W przemówieniu radiowym z dnia 14 lutego 1954r., zwróconym do wszystkich chorych na świecie, nazwał ich **cennym klejnotem i bogatym źródłem duchowej siły dla zbawienia ludzkości i samego Kościoła, dzięki któremu wielu niewierzących znajdzie prawdziwą wiarę**. W innym przemówieniu, w październiku 1957r. upominał chorych, **aby nigdy nie uważali się za bezużytecznych, aby wszystkie cierpienia ofiarowali za zbawienie dusz na całym świecie**. A **Jan XXIII** powiedział wprost: „Wśród wielu chrześcijan rozszerzony jest błędny pogląd, że współpraca misyjna polega na pomocy materialnej. W ten sposób sprowadza się do czegoś tylko ludzkiego, podczas, gdy z istoty swej jest to problem nadprzyrodzony, a środki materialne, choć są potrzebne, nie są czymś zasadniczym i jedyną formą współpracy. Co zaś najbardziej się liczy, to miłość do dusz, modlitwa za zbawienie, a zwłaszcza miłością ożywione cierpienie. Gdyby tak pod sztandarem apostołatu misyjnego można było zgromadzić wszystkich chrześcijan, którzy cierpią w szpitalach, sanatoriach i

innych przytułkach, gdyby z tych miejsc można było urządzić wiele ośrodków mistycznego wyposażenia dla misjonarzy. Gdyby tych chorych można było przekonać, by swoje cierpienia, przyjęte z miłością z rąk Bożych, ofiarowali za misję. Co za triumf można by przez to osiągnąć dla Kościoła”.

ŚW. TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS - PATRONKA MISYJNEGO DNIA CHORYCH

Duchowość św. Teresy od Dzieciątka Jezus cechowała przede wszystkim bezgraniczna, dziecięca miłość do Boga, której nie potrafiło zakłócić najgłębsze nawet cierpienie, oraz ogromna żarliwość apostołska. Przykuta do łoża boleści właśnie cierpienie wykorzystywała jako swoje narzędzie apostołskiego czynu. *„Przez cierpienie można ratować dusze”* – to powiedzenie, które ciągle powtarzała.

Św. Teresa znosiła swoje cierpienia z heroicznym zaparciem się siebie. Po Jej pełnych bólu słowach: *„ Nie mogę oddychać, nie mogę umrzeć”* – następowało zawsze pełne poddanie się: *„ale chcę jeszcze cierpieć”*.

Nie było jednak w tym nic z pustego cierpiętnictwa. Wszystko ofiarowała za drugich. W swoim cierpieniu zawsze łączyła się z Chrystusem i zachęcała do tego wszystkich cierpiących: *„ Ofiarujmy nasze cierpienia Jezusowi, aby ratować dusze, nieszczęśliwe dusze... Mają one mniej taski niż my, a przecież Krew Boga została przelana, aby je ratować. Jezus chce, aby ich zbawienie było zależne od westchnienia naszego serca. Jaka tajemnica... Jeśli jedno westchnienie może uratować duszę, co wtedy mogą zdziałać cierpienia takie, jak nasze... Nie odmawiajmy Jezusowi niczego”*.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus obrała sobie dwóch misjonarzy, w intencji których modliła się i ofiarowała swoje cierpienia. Utrzymywała z nimi żywy kontakt listowy. Do O. Roulland, który był misjonarzem w Chinach pisała: *„Przez modlitwę pozostanę zawsze z Ojcem zjednoczona. Proszę naszego Pana, aby nigdy nie obdarował mnie radością, gdy Ojciec cierpi. Chciałabym nawet, aby mój misjonarz zawsze doznawał pociech, a ja doświadczeń. Może to egoizm? Nie, gdyż moją jedyną bronią jest miłość i cierpienie. Natomiast Ojciec, jako misjonarz rozporządza mieczem słowa i działalności apostołskiej”*.

Opiekę duchową nad misjami roztoczyła św. Teresa zwłaszcza po swojej śmierci. Wtedy Jej wielka apostołska gorliwość nie знаła żadnych przeszkód. Zgodnie z tym, co zapowiedziała za życia, wszędzie zsyłała róże łask, pocieszała zmartwionych, podnosiła upadłych, leczyła chorych, przyczyniała się do licznych nawróceń. Odczuwając zbawczy wpływ Jej orędownictwa, 232 biskupów misyjnych zwróciło się do Ojca św. Piusa XI z prośbą, aby ogłosił Ją Patronką Misji. Pius XI przychylił się do tej prośby i już w 1927r., a więc krótko po Jej wyniesieniu na ołtarze, ogłosił Teresę Patronką Misji Katolickich na równi ze św. Franciszkiem Ksawerym, wielkim apostołem Indii i Dalekiego Wschodu. Patronką Misji została Ta, która nigdy w swoim życiu nie wyszła poza klasztorną klauzurę. Chciał przez to Pius XI, ten wielki papież misji, podkreślić między innymi, jak wielką wartość dla postępu dzieła misyjnego ma nie co innego, jak modlitwa i cierpienie. Jest więc św. Teresa również najlepszą Patronką Misyjnego Dnia Chorych.

MODLITWA NA MISYJNY DZIEŃ CHORYCH

Do Chrystusa, który przez Ducha Świętego prowadzi swój Kościół, by rozszerzał się aż po krańce ziemi, zanośmy wraz z wszystkimi chorymi i cierpiącymi nasze prośby:

- Módlmy się za Kościół, by kierowany światłem Ducha Świętego wypełniał zlecone mu zadanie nauczania wszystkich narodów.
- Módlmy się za pragnących przyjąć chrzest, by znalazła się dla nich dostateczna liczba misjonarzy.
- Módlmy się o wzrost powołań w młodych Kościołach, by mogły one osiągnąć pełną dojrzałość.
- Módlmy się, by laikat w krajach misyjnych włączał się gorliwie w życie swoich kościołów.
- Módlmy się, by w naszych wspólnotach chrześcijańskich wzrastało poczucie odpowiedzialności za misyjne dzieło Kościoła.
- Módlmy się za naszych braci chorych i cierpiących, by zrozumieli apostołską wartość swego cierpienia.
- Módlmy się za nas samych, by wzrastała w nas świadomość, że dobrze przyjęte cierpienie służy rzeczywiście wielkiej sprawie misyjnej Kościoła.

Boże Ojciec wszystkich ludzi, nakłoń serca tych, którzy Cię jeszcze nie znają do przyjęcia Dobrej nowiny. Pozwól również nam, chorym i cierpiącym, stanąć przy boku misjonarzy, trudzących się nad budowaniem Twojego Królestwa. Przez Chrystusa Pana naszego.

Amen

WIADOMOŚCI MISYJNE

TANZANIA

Przyrost katolików w ciągu 10 lat:

W ostatnich dziesięciu latach, poczynawszy od uzyskania niepodległości:

ludność katolicka Tanzanii wzrosła z 1 550 000 do 2 490 000. A więc przyrost o 940 000 czyli 61%,

wśród kleru Tanzanii było w 1961r. – 290 księży diecezjalnych, a w roku 1971 – 496, czyli przyrost o 71%.

Wszystkie miejsca w seminariach są obecnie zajęte. W roku 1961 tylko 4 diecezje miały rodzimego biskupa.

W roku 1971 spośród 24 diecezji, już 17 rządzonych było przez rodzimych biskupów.

Co oznacza Kościół dla Afryki?

„Oświadczamy, że afrykański ekumenizm jest częścią potężnego ruchu, który zmierza do tego, by przekazać Afryce panowanie nad jej własną historią” – oświadczyła ogólnofrykańska Konferencja Kościołów protestanckich w Kinshasa, stolicy Zairu (nowa nazwa dawniejszego Kongo – Kinshasa). I dalej czytamy: „Oświadczamy, że Bóg przez Jezusa Chrystusa zbawił wszystkich ludzi i przez to uwolnił naszą rasę od wszystkich ‘potęg’, które dziś działają w Afryce i żąda od nas, abyśmy źródło naszej nadziei przebadali w świetle Ewangelii, którą przekazał ludziom przez swojego Syna Jezusa Chrystusa. Chcielibyśmy tę nadzieję dzielić z wszystkimi, którzy cierpią z powodu ubóstwa, nienawiści rasowej, zatargów szczepowych i wyzysku politycznego, gospodarczego i społecznego. Wierzimy mocno, że Bóg w tej walce jest z nami. W Jezusie Chrystusie zajął miejsce wśród słabych, uciśnionych, wśród czarnych narodów Afryki. W Nim pokładamy naszą nadzieję. Ta nadzieja wzywa Kościół chrześcijański w Afryce nieodwołalnie, aby to przekonanie zmienić w konkretne wysiłki i przezwyciężyć spory i napięcia. Prosimy, aby Kościół przyczynił się do uwolnienia i zbawienia całego narodu afrykańskiego”.

Na świecie jest jeszcze 810 mln analfabetów

Według danych UNESCO - 810 mln ludzi dorosłych na świecie nie umie jeszcze pisać ani czytać. Większość analfabetów żyje w najuboższych regionach rolniczych Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, na terenach najbardziej opóźnionych w rozwoju gospodarczym. Brak wykształcenia jest jedną z najważniejszych przyczyn tego niedorozwoju.

Należy jednak stwierdzić, że procent ludzi umiejących pisać i czytać na całym świecie wyraźnie się powiększa. Największa poprawa zaznacza się w krajach Ameryki Łacińskiej na skutek wprowadzenia nowych programów szkolnych dla dzieci i dorosłych.

Ameryka Łacińska jest również jedynym spośród obszarów opóźnionych w rozwoju gospodarczym, gdzie zmniejszyła się nie tylko procentowo, lecz i rzeczywiście liczba analfabetów mimo przyrostu demograficznego. W najgorszej sytuacji znajduje się Azja, gdzie procent analfabetów wynosi 48% i kraje arabskie, gdzie 73,3% ludności dorosłej nie umie czytać ani pisać, mimo pewnej poprawy w stosunku do stanu z 1905r. Kościół katolicki bierze czynny udział w walce z analfabetyzmem.

Okresowa służba kapłanów dla misji

W ciągu 14 lat od encykliki Piusa XII „Fidei Donum” poświęconej okresowej służbie kapłanów diecezjalnych dla misji i 6 lat, które upłynęły od ogłoszenia soborowego dekretu Ad Gentes, wyruszyło na misje do Afryki i Ameryki Łacińskiej około 3 000 kapłanów, 500 spośród nich to Francuzi (280 w Afryce), Belgowie (prawie wszyscy w Afryce), 49 Szwajcarzy, 59 Holendrów, tyleż Anglicy, 254 Amerykanie (prawie wszyscy w Ameryce Łacińskiej), 1500 Hiszpanie i 300 Włosi. Ich praca na terenach misyjnych trwa około 5 lat. Doświadczenie wykazało, że kapłani „Fidei Donum” wyróżniają się gorliwością i inicjatywą i stali się wielką pomocą dla misjonarzy.

Po powrocie z misji kapłani ci stają się przekonanymi rzecznikami idei misyjnej oraz wnoszą do duszpasterstwa diecezjalnego swoje doświadczenie.

AKCJA MISYJNA KOŚCIOŁA

Z okazji 350-lecia istnienia Kongregacji Ewangelizacji Narodów, kard. Rossi, prefekt tej Kongregacji, podał w czasie konferencji prasowej w Rzymie dane statystyczne ilustrujące rozwój misyjnej akcji Kościoła.

Kongregacji tej podlega obecnie około 57 mln katolików w 840 okręgach misyjnych: 365 w Azji, 315 w Afryce, 80 w Ameryce, 61 w Australii i Oceanii oraz 19 w Europie. W okresie ostatnich 20 lat liczba katolików w Azji wzrosła z 6 mln do 15 mln. W tym samym czasie liczba katolików w Afryce zwiększyła się z 11 mln na 32 miliony.

W okresie ostatnich 20 lat liczba kapłanów w Azji wzrosła z 6800 do 15300, z czego liczba 10 tys. to księża – autochtoni. W Afryce podobnie: z 7500 w roku 1950 do 15000 obecnie (z tego 3600 to kler tubylczy). Podczas gdy w roku 1923 został wyświęcony pierwszy azjatycki biskup, to obecnie jest ich 141; w Afryce pierwszego biskupa wyświęcono w roku 1939, a obecnie ilość wzrosła do 147, 85% metropolitów w Azji i Afryce. Są to autochtoni.

LISTY MISJONARZY Z BURUNDI

kwiecień- maj – czerwiec 1972

od BRATA SYLWESTRA OD KRÓLOWEJ POLSKI:

Najprzewielebniejszy Ojcie.

Rutovu, 22.03.1972 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. List od Ojca otrzymałem i zdjęcia, za co serdeczne Bóg zapłać! Przepraszam, że tak długo nie pisałem. A więc pierwsze dwa miesiące przebywałem na placówce Misyjnej w Marliszo, zajmowałem się ogrodem i przyglądałem się budowie nowego kościoła. Podczas pobytu w Martiozo chorowałem na malarię przez tydzień, ale teraz dzięki Bogu jestem zdrow i nie odczuwam dolegliwości.

Obecnie przebywam w Rutovu; jest to szkoła „normale” (pedagogiczna), tu się uczę i trochę pracuję w szkole, w pracowni artystycznej. Szkołę prowadzą Bracia Szkolni i także mieszkam u Braci. Do Ojców idę, aby im pomóc w pracy w kaplicach – jedziemy na dwa lub trzy dni i dzielimy się – że mnie zostawia na jednej kaplicy, a sam jedzie do drugiej kaplicy; są to Ojcowie Biali.

Co za radość, nie myślałem w życiu, że będę woził Pana Jezusa do Chrześcijan Afrykańskich w góry i lasy afrykańskie. Zapytał mnie raz jeden Ojciec Biały, czy ja się nie boję sam zostać na trzy dni, a mnie nawet na myśl nie przyszło, aby się bać w kaplicy.

Gdy jestem, rano rozdaję Komunię św., odczytuję modlitwy po kirundzku, które sobie przygotowałem u Ojców oraz katechista coś dopowie; jeszcze nie rozumiem wiele. Po modłach maluję kaplice w desenie afrykańskie – postacie świętych, bo budują w Rutovu kaplice nowe, trwalsze, z cementu i jeszcze trochę z gliny.

Posiłki przygotowuje Murzyn. W Święta Bożego Narodzenia również byłem sam i przez cały dzień rozdawałem Komunię św. Tak mi się widzi, że więcej jest potrzebny język kirundi, niż francuski, bo po francusku, mało kto mówi, a w kaplicach nikt. Posługuję się słownikiem nowym i nowym językiem jaki mam oraz „Rękowskazami”, ale daję sobie radę, tak, żebym nie zginął wśród nich.

Dwa razy miałem okazję iść do chorych z Panem Jezusem; jest tu taka bieda, że chory nie ma czy się przykryć, nie piszę już co jedzą. W chacie Murzyna nie było stołu, aby położyć Pana Jezusa. Mata na ziemi i chory stękający w kacie, to wszystko, no i rodzina wokół chorego. W drugi dzień Świąt pojechało nas dwóch do innej kaplicy, w której zostaliśmy na dwa dni. W kaplicy nie było Mszy św. przez trzy miesiące, tak, że Ojciec spowiadał i dwie Msze św. dziennie odprawiał, a ja pomagałem w komunikowaniu.

Wieczorem zjedliśmy kolację, którą ze sobą wzięliśmy, po czym zaczęliśmy śpiewać kolędy, najpierw po francusku, potem po kirundzku. Szło nam lepiej, bo cały dzień słuchaliśmy w kościele, a potem każdy w swoim języku. Był to Ojciec Hiszpan, więc po

hiszpańsku, a ja po polsku; potem ułożyliśmy trawę na ziemi i śpiwory. W nocy zaczął padać ulewny deszcz i przeciekało przez dach z trawy tak, że na mnie zaczęło się lać; że ja zbierając swoje łoże i szukając innego kąta, (a domek był niewielki: dwa metry na dwa metry, więc wiele miejsca nie było) – tak sobie zanuciłem – „chatka była przyzwoita, tylko trochę źle pokryta”; a Ojciec pyta się, czy się denerwuję, a ja odpowiedziałem, że to kolęda polska, a była godzina za 15 dwunasta. Rano miał trzecią Mszę św.

Odjechaliśmy motorem do Rutovu. Teraz mam nową pracę do malowania, ale nie wiem czy zacznę, bo prawdopodobnie mam być przeniesiony do Mpinga; jest dużo do zrobienia, przede wszystkim budowa kaplic. Mam już trochę porobionych planów i jak Bóg pozwoli, to zaczniemy. W Mpindze jest najwięcej pogan i najbiedniejszy rejon. Ale już kończę i przesyłam gorące afrykańskie pozdrowienia.

Br. Sylwester od Królowej Polski

od O. TEOFILA :

Muyange, 28.02.1972 (list 6)

+ Drodzy przyjaciele

Wprawdzie jeszcze nie został potwierdzony odbiór mojego ostatniego listu do Was, ale w listach Waszych nagromadziło się już tyle pytań, że pragnę choć na niektóre odpowiedzieć, abym nie został zupełnie zasypany.

Najpierw jednak bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu i bardzo dziękuję za pamięć, za serdeczność, za modlitwy, o których zapewniacie.

Może już w ostatnim liście odpowiedziałem na pytania dotyczące naszej obecnej sytuacji, ale nie pamiętam, więc w skrócie donoszę uprzejmie, że w. o. Leonard i o. Eliaz odbywają staż pracy misyjnej w Rutanie, o. Edmund w Butwe, o. Kasjan w Rumezie, o. Sylwan w Makambie i o. Kamil w Mpindze. Te parafie znajdują się na terenie diecezji w Bururi. Tylko o. Klaudiusz został w Bukinasazi na terenie diecezji Gitega, ale i on ma o wiele bliżej do Mpingi niż do Muyange, gdzie o. Kanty i ja uczymy się języka. Brat Marceli nadal uczy się francuskiego w seminarium w Buta, a brat Sylwester w Rutovu.

Jak tu dochodzą wieści, wszyscy ojcowie odbywający staż pracy, zaczynają spowiadać i głosić kazania. Nie jest to jeszcze dla nich łatwe, ale tutejsi ludzie są wyrozumiali i nie śmieją się, nawet gdy kaznodzieja zamiast *umushatsi* powie *ivyatsi*. Ewangeliczne zdanie: „włosy na głowie waszej wszystkie są policzone” brzmi wtedy: trawy na głowie waszej... Ale nie śmieją się, choć to już poważny błąd. Mniejsze błędy polegają na błędnym akcentowaniu słów. Gdy np. ktoś chce powiedzieć: spotkali się na drodze”, czyli *barahurira mw-ibarabara*, a powie: *barahurira mw-ibarabara*, to ludzie zrozumieją: „ryczeli na drodze” , a gdy powie: *barahurira mw-ibarabara*, to ludzie zrozumieją, że „byli ofiarą alergii na drodze”. To jeszcze nie takie wielkie pomyłki. O wielu przygodach językowych opowiadają tu misjonarze. Jeden stary misjonarz opowiadał mi kiedyś, jak to w początkach swej pracy misyjnej zasiadł do konfesjonału i między innymi usłyszał: ukradłem *umwana w'ibitoke* sąsiada. Wiedział dobrze, że *umwana* znaczy tyle, co dziecko i wiedział dobrze, że *ibitoke* to sad bananowy. Zrozumiał

więc: ukradłem dziecko w sadzie bananowym sąsiada. Zdumiony zapytał: „a dlaczegoś je ukradł?” „Żeby zjeść” – padła odpowiedź. „Naprawdę je zjadłeś?” – pyta misjonarz. „Naprawdę, ojcze, zjadłem z moją rodziną” – odpowiedział skruszony penitent. To jednak prawda, że jeszcze istnieje ludożerstwo – pomyślał spowiednik. Skarcił bardzo surowo penitenta i nałożył bardzo dużą pokutę. Potem przypadkowo wyczytał w słowniku, że w *ibitoke* to po prostu zwyczajny owoc bananów. Ale dosyć tych językowych wywodów, bo myślę, że już widzicie, z jakimi trudnościami spotykamy się na kursie i w pracy. Prawdę mówiąc, to język ten jest łatwiejszy od polskiego, bo niemal nie ma wyjątków. Wszystko mieści się w gramatycznych regułach. Trudność tylko w tym, że tych reguł jest bardzo, bardzo dużo.

Poznajemy je teraz z o. Janem Kantym na kursie w Muyange. Nie tylko my, bo na kursie jest nas 28 osób z 9 krajów: księża, zakonnicy, siostry zakonne i kilka osób świeckich, w tym dwie protestantki ze Szwecji. Wszyscy zapracowani, bo codziennie jest 5 wykładów, a nadto praktyczne ćwiczenia w rozmowach z tutejszymi dziećmi i ludźmi. Bardzo to jeszcze idzie koślawo, ale już jakoś idzie. Chcemy, żeby szło dobrze, dlatego pracujemy dużo. Mimo tego zapracowania atmosfera w Muyange wytworzyła się miła i radosna. Od czasu do czasu wieczorem pod naszym domem, przy dźwiękach gitary o. Kantego i jednego naszego kolegi Hiszpana, rozlegają się melodie piosenek włoskich, hiszpańskich i francuskich. Słysząc też melodie z Kanady, Szwecji i oczywiście z Polski. Te ostatnie śpiewane z pomocą Słowian z Jugosławii, bo mamy na kursie jednego salezjanina i jedną szarytkę z tego właśnie kraju.

Czasem słysząc też melodie z Majorki, bo ta mała wyspa posyła tu od czasu do czasu po kilku kapłanów.

Jeżeli mamy szczerze się dzielić naszą sytuacją, to wypada jeszcze napisać, że ostatnio doskwiera nam trochę troska o pomoc materialną dla naszej misji. Okazuje się bowiem, że są różne trudności, że wiele obietnic pozostaje dotychczas tylko obietnicami. Nie chodzi o nas osobiście, bo mam nadzieję, że wyżyjemy i to dobrze, ale spodziewaliśmy się, że z pomocą naszych Braci z kraju i zza granicy, pomożemy coś biednym ludziom. Nadziei jednak nie tracimy, bo może to tylko takie chwilowe trudności. W tej sytuacji cieszy to, że Wy, Kochani tam w kraju jesteście z nami modlitwą i życzliwym sercem.

Może dziwić Was to „zatroskanie”. Czyżby misjonarze zapomnieli, że Pan powiedział: „Niech nie ogarnia was niepokój przewidywań...?” – że upomniał: „Nie troszczcie się...?” Nie zapomnieliśmy, ale jesteśmy ludźmi i nie przychodzi łatwo wyzbyć się „przewidywań” i „zatroskania”, zwłaszcza gdy na każdym kroku widzi się tyle nędzy. Czasem te przewidywania są jakieś jaśniejsze. Marzy się w nich ewangeliczne rozmnożenie chleba, marzy się żywe świadectwo wiary starych chrześcijańskich krajów, wiary wypowiadającej się uczynkami miłości, miłości takiej, jakiej przykład dał nam Pan. Czasem jednak przewidywania stają się nieco ciemniejsze, zwłaszcza, gdy dochodzą wieści z innych afrykańskich krajów. Ma wiele trudności Kościół w Kongu, wyrzucają misjonarzy z innych krajów. Może coś podobnego spotkać i tutejszy Kościół. Księża tutejszych jest tu bardzo mało, byłaby więc sytuacja beznadziejna. Podobno przed kilku laty już był wypisany dekret zmuszający wszystkich białych, w więc i misjonarzy, do opuszczenia Burundi. Tylko obecny prezydent uratował sprawę. Trudno się dziwić. Burundi to jeszcze bardzo młody kraj, dopiero co wyzwolił się spod jarzma kolonializmu. Trudno nawet powiedzieć, że wyzwolił się całkowicie, istnieje jeszcze duża zależność gospodarcza. Tak sobie nieraz porównuję obecne

czasy Burundi z czasami Bolesława Chrobrego, Krzywoustego i jego synów... Wszystko to podobnie nieokręple, jeszcze żywiołowe, jeszcze niedojrzałe. Niektórym władza jawi się jako coś bardzo pożądanego. Ci przy władzy czują się bardzo niepewni. Trudno więc dziwić się, że w takim kraju zapadają czasem jakieś skrajne, żywiołowe decyzje. Pod koniec stycznia i z początkiem lutego zapadły takie nagłe decyzje. Skazano na śmierć dziewięciu ludzi i kilku na dożywocie. Podejrzani o spisek przeciw rządowi. Wyrok zapadł niemal doraźnie, bo niektórzy ze skazanych na śmierć jeszcze kilka dni przedtem byli na wolności. Sytuacja stała się groźna, bo wielu było przekonanych o niewinności skazanych. Wnet też wyszedł dekret zabraniający surowo krytykować pociągnięcia rządu. Obawialiśmy się nawet, że ten dekret został wymierzony przeciw tutejszym biskupom, którzy wezwali rząd do rozważgi i prosili Ojca św. o interwencję. Na wypadek wykonania wyroku gotowały się rozruchy na dużą skalę. Na szczęście prezydent złagodził wyrok i to na jaki!? Niektórzy ze skazanych na dożywocie otrzymali kilka miesięcy więzienia, a nawet którzyś tylko 12 dni. Kilku ze skazanych na śmierć ułaskawiono na dożywocie, inni otrzymali karę kilku lat, a nawet niektórzy tylko kilka miesięcy. Ponieważ zaliczono im miesiące spędzone w więzieniu, ludzie przed kilku dniami skazani na śmierć chodzą swobodnie po kraju. Świadczy to o wielkiej jeszcze niedojrzałości tutejszego świata. Nie piszę tych zdań, żeby krytykować, ale po prostu, aby Wam pokazać jak jeszcze u nas jest, aby pokazać, co czasami barwi na czarno nasze przewidywania. Niełatwo mi opisać sytuację materialną tutejszego kraju i człowieka, jak o to prosicie. Trochę już na ten temat możecie wyczytać w poprzednich listach, więc tylko kilka zdań. Cóż, sytuacja nie jest łatwa, bo w Burundi nie odkryto jeszcze bogactw naturalnych, takich jak złoto, ropa naftowa, czy choćby węgiel. Prawie też jeszcze nie ma przemysłu, bo brakuje funduszy na rozpoczęcie. Za tym idzie brak pracy. Łatwo sobie zatem wyobrazić, że sytuacja ludzi jest trudna. Oczywiście, że dużo tu zależy od okolicy. Trochę lepiej jest w stolicy, a prawie beznadziejnie w dalekim buszu.

Może dobrze będzie zrobić taką małą panoramę cen. Ziemniaki, np. w buszu kosztują około 7 franków (frank tutejszy równa się prawie naszemu złotemu, za dolara otrzymujemy 90-100 fr.), a w stolicy około 20 fr. W buszu nieraz proszą rolnicy, aby od nich kupić, tymczasem w stolicy nie zawsze można dostać. Prosta sprawa, powiecie, trzeba je wozić do stolicy. Dla naszych rolników jednak nie takie to proste, bo nie ma dróg. Jeżeli zaś są drogi, to transport kosztuje bardzo dużo. Dla przykładu: za 1 km taksówkarz (jest kilku w kraju) bierze 10 fr. To dużo, jeżeli się pamięta, że przeciętny robotnik zarabia na dzień od 20-30 fr. Ale wcale nie tak dużo, jeżeli się pamięta, że zwyczajna teczka na papiery kosztująca w Polsce 1,50 zł, tu kosztuje 24 fr., że tubka pasty do zębów kosztuje 70 fr., że garstka ciemnej soli kosztuje 5 fr., że jedno piwo kosztuje 32 fr., a paczka papierosów 20 fr. Jeżeli jeszcze dodać, że np. zwyczajny rower kosztuje 6.000 fr., to mam nadzieję, że ta mała panorama cen porównana z zarobkami przybliży Wam obraz sytuacji tutejszego człowieka. Trochę lepsza jest sytuacja tych w stolicy, bo nieco więcej zarabiają. Nie mówię w tej chwili o białych, różnych profesorach, inżynierach, dyrektorach, urzędnikach, handlowcach. Na pewno w Europie nie mieliby więcej, tyle że mieliby lepsze drogi i telewizor.

To na razie tyle w tej sprawie, bo nie chcę zanudzać jednym tematem, skoro jeszcze pozostaje wiele. Mogliby też niektórzy mieć mi za złe, że na jedne pytania odpowiadam szeroko, a inne pomijam.

Jedno z tych pytań dotyczy rozwoju tutejszego Kościoła. Trochę wieści na ten temat posłałem już do kraju, więc czuję się zwolniony z obszernej odpowiedzi. Cieszy jednak bardzo, że troskacie się o Kościół w Burundi.

Jeżeli spojrzeć od strony organizacji, to Kościół tutejszy jest dosyć dobrze postawiony. W naszym małym przecież kraju mamy już 5 diecezji, a w tej chwili myśli się już o szóstej. Widziałem mury nowej katedry już wysoko podciągnięte.

W każdej diecezji jest po kilkanaście parafii. W diecezji Bururi np. jest ich trzynaście. Niektóre parafie są rozległe, ale podzielone są na okręgi z kaplicami pomocniczymi, których bywa w jednej parafii do 15. Jest już dużo szkół parafialnych, jest wyższe seminarium i kilka niższych. Tu i ówdzie zaczyna się organizować szpitale i przychodnie. Dosyć żywotne są organizacje kościelne, zwłaszcza Legion Maryi.

Jednak spojrzenie od innej strony ukazuje Kościół jeszcze słaby, dopiero się rozwijający. Jeżeli np. o dojrzałości Kościoła lokalnego świadczy jego zaangażowanie misyjne, to Kościół w Burundi jeszcze nawet nie marzy o wysyłaniu misjonarzy, bo sam nie może sobie poradzić z własną sytuacją. Zamiast np. myśleć o powiększeniu liczby katechistów, wciąż myśli jakby ją zmniejszyć, bo nie ma czym płacić za ich pracę. Tymczasem jeszcze istnieją parafie, w których na 20 tys. chrześcijan - pozostaje 40 tys. nieochrzczonych. Trzeba oczywiście pamiętać o spotykanych tu różnicach. Sam widziałem parafię, gdzie na 33 tys. ochrzczonych pozostaje tylko 3 tys. nieochrzczonych. Tu na północy jest pod tym względem dużo lepiej niż na południu. W tej właśnie parafii pracuje tylko 2 księży, którzy poza udzielaniem sakramentów i głoszeniem Słowa Bożego, mają jeszcze tysiące spraw na głowie. To jest nowy problem tutejszego Kościoła. W takiej sytuacji trudno przecież marzyć o żywym życiu sakramentalnym, o podnoszeniu się poziomu życia moralnego, o rozwoju życia wewnętrznego. Bez pełnego zjednoczenia parafii przy stole eucharystycznym, trudno marzyć o nowych powołaniach kapłańskich. Od 1925 roku (kiedy to wyświęcono pierwszego kapłana tubylczego) do roku 1971 mieliśmy w Burundi 160 święceń kapłańskich. Jeżeli ilość powołań świadczy o dojrzałości parafii, o dojrzałości Kościoła lokalnego, to sytuacja Kościoła w Burundi jest bardzo wymowna. Te kilka słów o naszym Kościele w Burundi zakończę serdeczną prośbą o modlitwę w intencji powołań kapłańskich, w intencji powołań misyjnych.

List się już przedłuża, ale jeszcze choć krótko pragnę uspokoić tych, którzy nie mogą uwierzyć, że w naszej Afryce wcale a wcale nie jest upalnie. Wciąż się martwicie, jak my znosimy gorąco, a tymczasem nieraz się nam marzy cieplejsza pogoda. Wprawdzie w dzień mamy to 20 stopni C, ale w noc temperatura spada do 15 stopni C a nawet 14 C. W Bururi spada czasem do zera. Nie upieczemy się zatem. Raczej obawa, że zmarzniemy. Teraz mamy już okres deszczów, który ma trwać do maja. Codziennie około godz. 17.00 pada deszcz. Czasem od 17.00 pada, pada, pada do rana. Przy takich deszczach nawet na polach położonych na zboczach górskich jest mokro, coś dopiero na tych w dolinach. Ludzie tu jednak do takiej sytuacji przyzwyczajeni, tak po prostu jak my w Polsce do zimy i śniegu.

Pragnę uspokoić także tych, którzy nie mogą spać po nocach, bo śnią im się straszliwe zwierzęta napadające na misjonarzy. Te sny chyba stąd, że widujecie dzikie zwierzęta na znaczkach z Burundi. Szczerze mówiąc, to i my widujemy je tylko na znaczkach. Jeżeli bowiem jeszcze stosunkowo łatwo spotkać małpy, zwłaszcza w okolicy Mpingi, to już trudniej o spotkanie z wężem. Hipopotama czy krokodyla też trzeba dobrze szukać. Zresztą

ludzie wiedzą, gdzie one przebywają i nie pozwoliliby misjonarzowi niepokoić tych pięknych okazów fauny afrykańskiej. A lwy? Prawdę mówiąc, to więcej lwów jest w Polsce, może nawet w jednej Warszawie, niż w całej Burundi. Tu niestety, nie ma ogrodów zoologicznych, a spotkać lwa na wolności niełatwo. Już od wieków nie słyszano, żeby lew misjonarza pożarł. Śpijcie więc spokojnie i niech Wam się śnią baranki...

A malaria? Ta malaria, co tak pożerała biedną Nel z „W pustyni i w puszczy”? Podobno wszyscy jesteśmy ukąszeni przez komara, a nie wszyscy tak delikatni i tak wymęczeni jak Nel. Zresztą wystarczy od czasu do czasu wziąć jakąś tabletkę przeciw malarii, a nie zachoruje się. Tak przynajmniej jest w Burundi. O ile wiem, to żaden z nas poważnie na malarię nie chorował. W górach zazwyczaj komarów się nie spotyka, a nad jeziorem na noc są moskitiery, zaś na dzień ręce. Gdy komar zaczyna nakłuwać skórę, to się go zabija jednym klapsem, zupełnie jak w Polsce. Trzeba tylko ręce mieć wolne. O to nie ma obawy. Tutejsi ludzie wszystko naszą na głowie. No, nie wszystko, bo dzieci nosi się na plecach. Ręce są więc wolne. Jest czym zabijać komary.

Ale co przejmować się komarami, skoro w tej chwili niebo jest bajecznie kolorowe, skoro w pobliskim lesie rozśpiewały się ptaki, skoro ziemia uśmiecha się tysiącem kwiatów. Aż wierzyć się nie chce, że w Polsce dzisiaj może być zimno i śnieżno. Prawdę mówiąc, to jeszcze czasem chciałoby się zobaczyć śnieg ze śladami zajęcy i gawronów, ze śladami saneczek dziecięcych. Nie mamy śniegu, ale za to mamy kwiaty. Jeżeli już doszliśmy do kwiatów, to pragnę pytającym o to odpowiedzieć, że dużo tu kwiatów takich afrykańskich, ale przy misjach kwitną przeważnie te sprowadzane z Europy, któż zresztą wie, może do Europy zostały sprowadzone z Afryki. W każdym razie z mojego okna widzę róże, goździki, lewkonie, hortensje i czerwoną jak krew szalwią. Z tych tutejszych to między kaktusami i palmami kwitną takie różowe kobierce. Kwitną też pnące się wysoko na mury pomarańczowe dzwonki. O nazwę nie pytajcie. Może na starość wezmę się do biologii, to je opiszę. Na razie lubię kwiaty – bez pytania o nazwę.

Ale już kończę, bo jak słyszę o Jan Kanty też zamierza napisać długi list, bajecznie kolorowy, to mielibyście za dużo czytania. Powodowany więc litością, kończę.

Jeszcze tylko bardzo serdeczne życzenia Wielkanocne dla wszystkich naszych Drogich Przyjaciół przesyłam. Sądzę, że do wielu list nie dotrze wcześniej niż na Święta. Zresztą do Świąt już nie tak daleko, skoro czasem – tak w duszy – słyszymy jak Polska cała śpiewa „Gorzkie żale”. Niech więc Jezus Zmartwychwstały darzy Was mocą i nowym życiem, życiem pełnym miłości, pokoju i radości...

W modlitwie pamiętam. Także o Braciach i Siostrach z Kazimierza Wielkopolskiego i Gubina, gdzie przed rokiem głosiłem rekolekcje wielkopostne. Ciekaw jestem czy i Oni jeszcze pamiętają?

Modlitwom Waszym bardzo się wszyscy polecamy!

Niestety, list ten wypadł bardzo niepoukładany, ale pocieszam się, że nie jest to list do druku, tylko taki prosty, bezpośredni list do Przyjaciół, którym jeszcze raz ślę wiele uśmiechów i serdeczności!

Wasz brat o. Teofil k. d.

Adres do czerwca: O. TEOFIL KAPUSTA
D. Sp. 108 Bujumbura
BURUNDI - AFRIQUE

od O. JANA KANTEGO:

Mabanda 12.01.1972 r. (6)

+ Najmilsi.

Spełniłem obietnicę daną Wam w liście, który wczoraj skończyłem i dziś przed dwiema godzinami wysłałem. Oto zaczynam list następny. Jest on właściwie dalszym ciągiem poprzedniego. Pragnę w nim nie tylko opisać do końca me świąteczne wojaże, ale także zamknąć jakoś mój pierwszy etap afrykański. Za tydzień bowiem opuszczam Mabandę i ...

A więc po kolei!

Skończyłem na tym, że z Rutovu zrobiliśmy wycieczkę do źródeł Nilu. Czekaliśmy z br. Marcelim na okazję i wreszcie 30-go trafia się nie byle jaka: sam biskup i to w towarzystwie o. Leonarda, który przyjechał w te strony, po Świątach spędzonych z resztą w Muyange. Teraz jechali z Bururi do Mpingi, a więc kierunek przeciwny od mojego. Ponieważ jednak wieczorem wracali do Bururi, więc zabrali mnie ze sobą. Br. Marceli czekał nadal na inną okazję. Nie spieszyło mu się zresztą, gdyż w Małym Seminarium w Buta, w którym uczy się francuskiego, wakacje trwają do Trzech Króli. Biskup zatrzymał się w Rutovu kilkanaście minut, w błyskawicznym tempie dzieliliśmy się nawzajem wiadomościami, co nowego tu i tam. Spotkanie było naprawdę nadzwyczaj radosne, ale jedna wiadomość zrobiła na mnie takie wrażenie, że do wieczora tego dnia dławilo mnie w gardle i nie pozwoliło o niczym innym myśleć: w Poznaniu zmarł o. Makary, mój ostatni przeor w Polsce. Ci z Was, którzy znali go osobiście, nie zdziwią się na pewno, że tak bardzo przeżyłem jego odejście. Wieczorem tego dnia jakoś przyszedłem do siebie i wrócił mi spokój, choć i teraz łzy napływają mi do oczu, gdy o tym piszę.

Pożegnawszy br. Marcelego i br. Sylwestra, pojechałem z dygnitarzami do Mpingi. Z o. Leonardem i o. Teofilem rozmawialiśmy dużo, także na temat przyszłego naszego urzędnictwa tutaj w Mpindze. Pod koniec stycznia przyjadą tu po kursie kirundi: o. Leonard, o. Kamil, o. Eliasz, a także dwaj bracia: Sylwester i Marceli. Dwaj Belgowie opuszczają Mpingę po Wielkanocy, a zostanie jeszcze dłużej razem z karmelitami młody ksiądz Murzyn. Pozostali czterej ojcowie, będący obecnie na kursie kirundi, będą przez jakiś czas odbywać „staż” na różnych placówkach diecezji Bururi i Gitega. O. Teofil i ja od początku lutego będziemy na kursie kirundi w Muyange. Kurs ten będzie trwał około czterech miesięcy. Kiedyś biskup się wahał, czy wysłać mnie na kurs, czy może lepiej zostawić na misji przy naszym „Czarowniku”, dawnym profesorze kirundi i autorze powszechnie znanego tutaj podręcznika tego języka. Wszyscy też ojcowie w tutejszym dekanacie są zdania, że zwłaszcza teraz, gdy początki języka mam poza sobą, więcej mógłbym skorzystać pozostając na misji. Jednakże poza sprawą języka jest jeszcze inna rzecz, która skłoniła biskupa do decyzji. Otóż chodzi o to, by nie tylko posiąść dobrze ten język, ale żeby zdobyć jakieś bardziej pełne i wszechstronne rozeznanie „terenu”. Nie chodzi oczywiście o geografię (choć i to jest w programie), ale o poznanie zwyczajów, obyczajów, mentalności tutejszych ludzi, ich kultury itd. chodzi też o jakieś bardziej całościowe zorientowanie się o sytuacji Kościoła w Burundi i

w ogóle w Afryce. Tutaj wprawdzie starałem się to na jakąś osobistą skalę robić „oddolnie”, starałem się też dużo dowiedzieć od doświadczonego „Czarownika”, gdyż zawsze sądziłem, że to jest konieczne, żeby móc się z ludźmi „dogadać”. Dobrze więc, że będę miał okazję poznać te sprawy bardziej wszechstronnie i solidnie. Nie ukrywam wszakże, że trochę mi nierażno – „mnie, staremu misjonarzowi” (już przecież dochodzę pod czterdziestkę, choć nie powinno mi się tyle liczyć, bo dużo lat przespałem) – a więc mnie staremu, trochę nierażno zostawić robotę i iść do szkółki, jednakże nie myślę wcale się tym martwić – przeciwnie: cieszę się, choć jeszcze nie wiem na co. Stwierdziłem bowiem już doświadczalnie, że ilekroć przyszło mi działać wbrew temu, na co „miałem chętkę”, to zawsze spotkało mnie jakieś „miłe rozczarowanie”. Mogłbym Wam wiele przykładów przytoczyć, ale nie będę tego czynił, gdyż i tak jest nawał spraw bieżących! Otóż obiecuję Wam, że jak tylko się połapię, to nie omieszkam Wam napisać, jaka to łaska spotkała mnie w Muyange.

A więc jesteśmy w Mpindze i jest 30 grudnia, po południu. Żegnamy Mpingę i o. Teofila, i z dygnitarzami (ma się rozumieć: biskupem i o. Leonardem) wracamy do Bururi. Po godz. drugiej zbaczamy do parafii leżącej niedaleko Mpingi, a należącej do diecezji Gitega. W parafii tej będzie jeden z naszych ojców, więc biskup chciał ją pokazać naszemu szefowi. Cóż, parafia jak parafia. Ładny i duży kościół. Nowy. Oprowadzał nas po nim miejscowy przełożony, budowniczy. Szczerze podziwiałem. Zwrócił uwagę na krzyż. Chrystus nie przybity do krzyża, ale stojący z opuszczonymi rękami. Spojrzałem. Owszem, podobało mi się. Pomyślałem, że to symbol Zmartwychwstania. Zresztą słyszałem już, że czasem tak ujmują to artyści.

- Ale ludziom to się nie podoba – tłumaczył mi ksiądz architekt – wolą, żeby Chrystus był na krzyżu.

- A więc – odpowiadam – zrobić tak, jak się ludziom podoba!

- To nie teologiczne – mówi ksiądz – gdyż Chrystus obecnie w niebie nie jest ukrzyżowany.

- Ale nas zbawił przez śmierć na krzyżu!

- Ale teraz, teraz, ojciec rozumie, teraz Chrystus nie jest na krzyżu!

Dałem spokój. Powiedziałem tylko, że wobec takiej logiki, trzeba by zniszczyć wszystkie obrazy, rzeźby i wizerunki Chrystusa cierpiącego. Kusiły mnie już rogate aniołki, żeby mu powiedzieć, że ma „nabitego ćwieka” i nie liczy się ani z tradycją Kościoła, ani ze sposobem patrzenia „odbiorców” na tę sprawę, i że w ogóle sam jest strasznie ciasny, skoro nie umie zrozumieć, że może istnieć różne spojrzenie na tę samą rzecz. Dałem spokój, powtarzam, i to „zwycięstwo nad sobą” w dużej mierze zawdzięczam temu, że w mej znajomości francuskiego mam braki, gdyż w Paryżu „nie braliśmy” słów i zwrotów ubliżających.

Z Bukirasazi, bo tak się nazywa ta misja, wróciliśmy do Bururi, gdzie przenocowaliśmy, nazajutrz rano udaliśmy się w takim składzie do Makamby. Biskup bowiem jechał tam udzielić sakramentu bierzmowania, a także chciał pokazać Makambę o. Leonardowi, bowiem w Makambie też będzie jeden z naszych na stażu.

W Makambie koncelebrowaliśmy: biskup, Plum i ja. Następnie jeszcze przed obiadem, biskup i o. Leonard wrócili do Bururi. Zrazu zamierzał biskup odwiedzić mnie na miejsce do Mabandy, ale obawiając się, że po deszczu może wezbrać rzeka i mogą być trudności z przeprawieniem się przez brody (niech starsi wyjaśnią dzieciom, o jakie to brody chodzi, żeby nie myślały, że po ludzkich jeździ się tu samochodem), postanowił natychmiast

jechać i poprosił „tych z Makamby”, by mnie odtransportowali do domu. Obiecali, a jak się tylko za biskupem drzwi zamknęły, mówią z Rudym na czele: „Teraz cię, bratku, mamy! Odwieziemy do Mabandy, ale... na drugi rok”! Prosiłem, błagałem, że przecież z tęsknoty za mną może „Czarownik” umrzeć. Niewzruszeni! Mówię, poważnie, że czeka na mnie praca w Mabandzie. Wykalkulowali, że w Sylwestra już praca skończona, a w Nowy Rok dzień wolny od pracy! A więc mając uspokojone sumienie, bardzo byłem rad z tego uwięzienia w Makambie.

Ciekawi jesteście zapewne, jaka to praca czekała na mnie w Mabandzie. Bądźcie cierpliwi, bo jeszcze z Makambą nie koniec. Plum mi przykazał, żebym zaraz po obiedzie przespał się porządnie, a potem skończył brewiarz i inne pobożne ćwiczenia, bo o osiemnastej się zacznie. I zaczęło się. Trzy tamtamy, wielkie jak beczki od piwa, trzy gitary (w tym jedna moja, wzmocniona elektrycznie). Do obsługi tego kilku Murzynów, głównie katechistów z Makamby, Rudy Plum i niżej podpisany. Poza tym obecni: pozostali ojcowie z Makamby, francuskie siostry zakonne mieszkające w Makambie niedaleko misji i pracujące w tutejszym „*Maternita*”, czyli wspomnianej już kiedyś (chyba w pierwszym liście) klinice położniczej.

Poza tym było zaproszonych kilku młodych Francuzów pracujących w Burundi i kolega szkolny Pluma, jakiś tam *leiter*, czyli urzędnik, który do Burundi przyjechał na paromiesięczne wakacje. On też był odpowiedzialny za kuchnię. Otóż zaczęło się, jak wspomniałem, o zmierzchu i trwało do godziny 4 rano. Co? Walenie w bębny! Gitara, nawet ta moje, pokrzepiona prądem elektrycznym, niewiele miała do gadania. Dobrze, że kiedyś w kraju trzymałem się mocnym uderzeniem, bo dzięki temu odporność na decybele mam nadzwyczajną. Ale nie cały czas trwał huk bębnow. Wyśpiewaliśmy też wszystkie możliwe piosenki. Mnie zmuszono do zaśpiewania paru kolęd, oraz oczywiście „*Italiano*” i „Szła dziewczeczka”, której refren „lalowali” wszyscy. Przed północą pół godziny poświęciliśmy na modlitwę, czytanie Pisma św. i refleksje. Było to wyśmienie zaaranżowane przez Pluma. O północy wzajemne życzenia i ciąg dalszy, z tym, że siostry pożegnały nas krótko po niej. Francuzi też poszli nieco później. Do czwartej wytrwali wszyscy czarnoskórzy, Plum, ten urzędnik od kuchni i ja.

Rano o godz. 7 koncelebrewaliśmy z pozostałymi ojcami, a potem od 9.00 do 14.00 ... byłem na piwie, tym afrykańskim. Była to uroczystość chóru kościelnego w Makambie, a ponieważ chodziło mi o nagranie ich śpiewu, więc poszedłem razem z Plumem. Po obiedzie przełożony misji w Makambie odwiózł mnie do Mabandy. Calutki czas darliśmy się w dwójkę w samochodzie, jakby jeszcze było mało. Obok większych grup ludzi *Padru Mukuru* (ojciec proboszcz) zwalniał biegu, a nawet przystawał, zaś ludzie, a zwłaszcza dzieci, słysząc śpiew i dźwięk gitary, klaskały z zadowolenia i czasem biegły za samochodem.

Wróciłem wreszcie do Mabandy serdecznie przywitany przez „Czarownika” i Francuza. Swoje odespałem, zacząłem pisanie poprzedniego piątego listu do Was i w poniedziałek, 3 stycznia, zacząłem nowy rodzaj działalności misjonarskiej.

Otóż już od 28 grudnia w Mabandzie zaczęły się i trwały aż do Trzech Króli egzaminy katechumenów przed chrztem św. „Czarownik” zaproponował mi, żebym też wziął się do roboty i pomógł im przygotować się do tego. Jednakże, jak wiecie, zacząłem dopiero po Nowym Roku. Pierwszego dnia przepytalem tylko jedenastu. Pierwszych ośmiu odpowiadało tak sobie, drudzy gorzej, ale wszyscy jako tako się orientowali. Trzech ostatnich, już starszych, nie wiedziało dosłownie nic, a byli przecież już po półrocznych początkach.

Musiałem ich „zostawić” i strasznie to przeżyłem, bo czy się nie zniechęcą? Pomódlcie się za nich w szczególności! Następnymi dniami szło lepiej, byli to zresztą już bardziej zaawansowani, także ci przed samym chrztem św. Przez wszystkie te dni przepytiałem około stu, może trochę więcej. Poza tymi trzema odesłałem jeszcze troje dzieci, ale już chrześcijańskie i po wczesnej Komunii św., a przed uroczystą Komunią św. Uważam, że od nich można więcej wymagać, a nie umiały dużo spraw najważniejszych.

Nie sądziłem, że ten egzamin będzie tak dobrą okazją do ćwiczenia się w kirundi; lepszą (przynajmniej dla mnie) niż katechizacja, gdyż trzeba więcej rozumieć mowę innych. To może też ośmieliło mnie, że gdy w Trzech Króli przed Mszą św. poprosiła mnie jakaś panna o spowiedź, nie odpowiedziałem jak zwykle, że nie mogę wypowiadać, ponieważ nie znam jeszcze dostatecznie kirundi. A raczej, ściśle mówiąc, odpowiedziałem tak, jak zawsze, ale gdy zapytała, czy może prosić innego ojca i gdy sobie zdałem sprawę z tego, że inni są jeszcze bardziej zajęci egzaminami i że nikt jej nie wypowiada, a z drugiej strony zauważyłem, że mówi bardzo wyraźnie, odważyłem się i stwierdziłem, że... to wcale nie tak trudno! Oczywiście od dłuższego już czasu z Juvenalem pracowaliśmy nad kirundi właśnie pod kątem spowiedzi, ale nie sądziłem, że szybko zacznę spowiadać.

Zmobilizowała mnie też ta spowiedź do tego, że przez parę następnych dni kołkiem siedziałem „nad spowiedzią”. Przewidywałem bowiem znowu takie sytuacje, albowiem 21 stycznia pozostali ojcowie mieli wyjechać na trzy dni do Bujumbury, żeby po tym czasie wrócić razem z powracającym po 5 miesiącach z Europy ojcem, o którym kiedyś wspominałem. Musiałem więc sam zostać na misji. Rzeczywiście: pierwszego dnia wypowiadałem 2 kobiety starsze, następnego dnia około 20 dzieci szkolnych i ostatnio około 7 osób dorosłych, głównie mężczyzn. Oczywiście uważałem sobie za obowiązek zawsze powiedzieć wszystkim, zanim siadłem do konfesjonału, że „ja nie znam dobrze języka, mogę was wypowiadać, ale musicie mówić powoli i wyraźnie”. W ten sposób zabezpieczyłem się i nikt nie mógł mi powiedzieć, w razie jakichś trudności: „po co się chłopie bierzesz do spowiadania, skoro nie znasz naszej mowy”. Oczywiście spowiedzi nie będę wam opisywał, ale muszę stwierdzić, że jak dotychczas, to jestem bardzo zadowolony ze sposobu spowiadania się tutejszych ludzi. Po zadaniu pokuty, przed udzieleniem rozgrzeszenia, mówiłem każdemu: „teraz zmów akt żalu”, albo dosłownie „modlitwę żalu”. W kirundi brzmi to: *ubu* (teraz) *vuga* (mów) *igisabisho* (modlitwę – czyt. *igisabiszo*) *c'ukwigaya* (żału – czyt. *ukligaja*)”. Otóż w tym dniu gdy spowiadałem dzieci, przejęczyłem się w ostatnim słowie i wymówiłem *uklijaga*. Nie miało to żadnego sensu, choć mogło mieć jakiś związek z rozmową, gdyż *kuyaga* znaczy: rozmawiać. Chłopiec, którego spowiadałem, oczywiście zrozumiał o co mi chodzi, ale po spowiedzi zwrócił mi bardzo grzecznie i poważnie uwagę, że nie *c'ukwiyaga* tylko *c'ukwigaya*.

Byłem mu niezmiernie wdzięczny, bo mógłbym ten błąd nie wiadomo jak długo powtarzać. Myślę, że to drobnutkie zdarzenie rzuca pewne światło na sposób spowiadania się. Modlę się i Wy też się módlcie, bym także i w przyszłości mógł być zawsze zadowolony z rzeczowego spowiadania się penitentów.

Dnia 13 stycznia, na Mszy św. dla dzieci miałem krótkie kilkuminutowe kazanie. Nie jestem jednak z niego zadowolony, mimo że prawie wszystko czytałem, to jednak nie szło, stękałem i czułem, że nie mam kontaktu ze słuchaczami. Ale cóż, nie martwię się zbytnio, bo

wiem, że „nie od razu Kraków zbudowano”, albo, jak tutaj mówią: *Bukebuke bukomeza igihoyi* – czyli dosłownie – powoli formuje się banan.

Najmilsi! myślę, że nie zdziwi Was fakt, iż na początku listu widnieje data 12 stycznia, a ja piszę m. in. o trzynastym. To nie dar prorocstwa, tylko rzecz jasna: list pisany kilka dni. Dzisiaj jest już 17 stycznia!

Dziwię się sobie, że ja, taki leworęki do pisania listów, piszę teraz tak monstrualnie długie listy, no i piszę – musicie mi przyznać – często! Mam nawet trochę wyrzutów sumienia, że dużo gadulstwa jest w tym pisaniu. Myślę, że jak się tutaj bardziej „ustatkuję”, to już nie będzie tyle rzeczy nowych. Teraz z początku wszystko jest ciekawe, więc chciałbym się z Wami podzielić.

Na teraz będę zmierzał ku końcowi, gdyż jakoś dobrnąłem do teraźniejszości. Tematu miałbym jeszcze bardzo wiele, o niektórych zwyczajach tutejszych, o strojach ludności, o sposobie liczenia czasu, o sposobie liczenia na palcach, o cenach, o mieszkaniach ludności, o stopie życiowej itd. To taki korespondencyjny „groch z kapustą”, którym będę Was częstował, ale już z Muyange. Za cztery dni bowiem tam się udaję.

Jeszcze jedna wiadomość z ostatniej chwili. Pisałem zdaje się, Wam (a może to w liście do Rodziny tylko?), że nasz o. Bagein udaje się w tym roku na pięciomiesięczny urlop do Belgii. Otóż wyobraźcie sobie, że mój „Czarownik” myśli o wybraniu się na parę dni... do Polski! Zresztą nie tylko on, ale on najwcześniej. Ja im tutaj bowiem na temat Polski tak „czaruję” (choć wcale nie przesadzam), że niejednemu oczy się świecą na myśl zobaczenia naszego kraju. „Czarownik” też, jak usłyszał na dodatek o Międzynarodowych Targach Poznańskich – a jak Wam pisałem jest to człowiek, który interesuje się naprawdę wszystkim i na bardzo wielu sprawach dobrze się zna – a więc, gdy wspomniałem o Targach Poznańskich, tak się zapalił, że myślę, że będziecie mieli możliwość oglądać go w Polsce. Zostały tylko jeszcze do omówienia szczegóły tego przedsięwzięcia.

W chwili, gdy pisałem przedostatnie zdanie, to o Targach, przyszedł do mnie właśnie „Czarownik”. Nie pukał do drzwi, bo są szeroko otwarte, tylko chrząknął i gdy się do niego odwróciłem wręczył mi podarunek – pamiątkę, gramatykę kirundi przez siebie napisaną, ten egzemplarz, który dostał jak autor od Wydawnictwa. A więc jest podwójna dedykacja:

Au R. P. Bagein, Hommage des Presses Lavigerie, Bujumbura 16/11/51

oraz: *Au Rev. Pere J. K. Stasiński – Bagein, Mabanda 10/1/72.*

Cieszę się bardzo. To bardzo miła pamiątka, a także pożyteczna, bo miałem taką gramatykę, ale pożyczoną od jednego z ojców.

To już prawie koniec na dziś i chyba na styczeń. Chciałem tylko jeszcze raz niezmiennie podziękować wszystkim za listy, kartki, życzenia, opłatki. Strasznie mi przykro, że nie mogę każdemu osobiście zaraz odpisać. Będę się starał jednak dołączyć małe dopiski do poszczególnych osób.

Mam nadzieję, że w Muyange nie będzie gorzej z czasem niż tutaj.

Dziękuję też przede wszystkim Wam za pamięć przed Panem Bogiem, zwłaszcza na Boże Narodzenie. Wyznaję uczciwie, że gdybym nawet nie dostał ani jednej literki od Was napisanej, to i tak byłbym zupełnie pewien Waszej pamięci!

Niech Bóg będzie Waszą radością!

Wasz (i Murzynów też)

brat Jan Kanty

P.S. Kiedyś, ktoś w liście nawiązując do polowań czarownika życzył mi smacznego do tego mięsa z antylopy i goryla. Trochę się zdziwiłem, skąd ten goryl, ale domyśliłem się oczywiście, skąd ten żart.

Jednakże niedawno w liście poważnego profesora Uniwersytetu, znowu wzmianka o mięsie z goryli. Wyczułem lekkie zdziwienie. Proste pytanie: „czy to smaczne” – nie wskazywało na żart. Z drugiej strony skąd ta zbieżność pomysłów. Pomyślałem, no tak, mimo przyrzeczeń S. Edmunda „działa”. Zresztą może sobie wytłumaczyła, że przepisuje wszystko wiernie, a że do antylopy doda goryla, to przecież od przybytku głowa nie boli. I nagle olśnienie. Przecież ja pisałem o gazeli. A ponieważ tę część listu nie pisałem na maszynie, lecz odręcznie, gdyż wieczorem nie chciałem stukać, więc wszystko jest już jasne.

Sięgam po kopię. Piszę bowiem zawsze przez kalkę, by się zbytnio nie powtarzać. Rzeczywiście stoi wyraźnie napisane: „smacznego mięsa z dziczyzny tzn. z antylopy albo z gazeli...”. Napisałem rzeczywiście tak, że gdybym miał literę po literze czytać, to na pewno ja sam przeczytałbym „z goreli”.

Siostra może pomyślała, że biednemu Kantemu się pogorszyło i wstydzi się litery „y” i pisze, ja to mówię „z wysoka” -goreli zamiast goryli. Ale gdyby tak było, to pisałbym również z antylop. A więc goryli nie jemy...Żyjemy w Burundi, ale my ani ich, ani one nas nie lubią. Mam teraz wielkie wyrzuty sumienia, że posadzałem siostrę niesłusznie i w myśli układałem już do niej siarczyste kazanie. Jednakże, gdy tak wszystko się wyjaśniła, to jednak zostało mi w duszy małe podejrzenie, czy czasem Siostrzyczka, mając przed sobą niewyraźne pismo, nie skorzystała skwapliwie z okazji i zamiast udać się do apteki, by specjaliści od odcyfrowania gryzmołów przeczytali pismo nieczytelna jak należy, wołała napisać tak jak dyktowało jej „nieznośne usposobienie”. Tak czy inaczej, gdy powiedziałem, o tym gorylu „czarownikowi”, to śmiał się, że obawiałem się, że się rozchoruję.

Adres do mnie: O. Jan Kanty Stasiński
MUYANGE – CELA
D. Sp. 108 – Bujumbura
AFRIQUE – BURUNDI

od O. KASJANA:

Rumeza, marzec 1972r

+Czarna Nęcza.

W odpowiedzi na częste pytania o egzotykę, napisałem jeszcze z Muyange artykuł, który wystarczyłoby przepisać w kilku odcinkach na maszynie i wysłać do Polski, by choć w części zaspokoić Wasz głód wrażeń. Nie mam jednak teraz najmniejszej ochoty zajmować się bzdurami, gdyż przytłoczony jestem głodem i nędzą. Nie przygniatają one mnie bezpośrednio (misjonarze utrzymywani są z funduszy diecezji), lecz ludzi pośród których żyję.

Razi mnie koloryzująca przesada i nadużywanie superlatywów. Nie napiszę więc: Burundi jest najbiedniejszym krajem na świecie, lub bardziej realistycznie – najbiedniejszym krajem w Afryce. Nie znam bowiem ani świata, ani Afryki. Tragiczne zaś echa z Pakistanu i Biafry, jakie dotarły do mojej świadomości, zdają się być sytuacjami krańcowymi w bytowaniu ludzkim. Los Burundi nie jest aż tak potworny, ale okropności, z jakimi tutaj się spotkać można na porządku dziennym, są prawdziwie do głębi przejmujące. Niech jednak przemówią fakty.

O przeludnieniu Burundi nie muszę chyba przekonywać. Jako tako przekonać się o tym może każdy, kto pofatyguje się zajrzeć do atlasu i patrząc na piegi kontynentu potrafi pomyśleć o ludziach, a nie o zdrowiu ludzkim. Ludzie mrowią się tutaj rzeczywiście, nie tylko na drogach i ścieżkach, gdzie od świtu do zmierzchu, ciągle można spotkać wędrujących. Prawdziwie mrówczej pracy trzeba do uprawy ziemi na zboczach górskich, w dolinach i bagniskach. Kraj więc wygląda jak ogród, jak park, jak rezerwat piękna. Nie bez kozery nazwano Burundi „małym rajem”. Jednakże w tym raj, mimo szczodroblowości matki ziemi i skrzętności ludzkiej (w opinii o lenistwie Murzynów tkwi odrobina prawdy, ale znacznie więcej przesady), zwykli śmiertelnicy jedzą raz dziennie o zmierzchu, lub gdy trafią się dni obfitsze, to dzień rozpoczyna się śniadaniem, bo ziemia i krowa, to całe bogactwo przytłaczającej większości Burundi (nazwa obywateli Burundi). Przepraszam – widziałem jeszcze jedno źródło bogactwa. Jest nim:

Plantacja herbaty. Nie umiem na oko określić arealów, a dokładnie danych nie znam. Dla zorientowania mogę powiedzieć, że zwiedzanie poszczególnych punktów plantacji odbywało się samochodami. Większość okolicznych ludzi znajduje tu pracę. Niech jednak hurra – optymiści powstrzymają się jeszcze chwilę z oklaskami. Istnieje bowiem powód do zaciśnięcia pięści. Posłuchajcie uważnie. Do pracy przy okopywaniu krzewów herbacianych trzeba się zgłosić z własną motyką. Za ośmiogodzinną dniówkę otrzymuje się 25 fr., równoważnik pocztówki do Europy (12 fr. – pocztówka + 13 fr. – znaczek). Sandały u Baty kosztują + - 500 fr., kilogram ryżu, paczka papierosów „Belga” 20 fr., pudełko zapalek 2 fr. Może wystarczy. To jednak nie wszystko. Istnieje możliwość osiągnięcia wyższych zarobków – przy akordowym zbieraniu herbaty. Najlepsi zbieracze osiągają za dzienny urobek ok. 40 fr. Najlepszymi (najzwinniejszymi) zbieraczami są dzieci. Jest ich więc mnóstwo na plantacji. „To przecież jest lepsze niż szkoła. Ze szkołą związane są wydatki – tu się zarabia”. Takie jest niepisane prawo neokolonializmu, którego jak deski ratunku chwytają się biedacy. Gdzie więc płynie wyciśnięty kapitał? - nie wiadomo. Mówi się mgliście o aliansie Państwa z Belgią, czy też EWG (ponoć EWG miała dać początek plantacji i wybudowała za wcześnie zautomatyzowaną suszarnię). Jak jest w rzeczywistości, trudno się wyznać, bo linotypy piszące utwór z piekła rodem pt. „Nowa chata Wujka Toma”, są zbyt skomplikowane i wytworne. Tylko nędza jest nieskomplikowana, bo *n ę d z a j e s t n a g a , l u b n i e m a l n a g a*. Niejednokrotnie spotkałem zupełnie nagie dzieci. Powie ktoś: rajski widok. Być może, ale i tutaj bywają przejmujące chłody. Więc widziałem dziecko „ubrane” w worek (niech ktoś się pomyśli przypadkowo o sukienkach, jakie noszą w Europie ciężarne i modne panie). Worek urealniłby nadruki firmowe. Łachmanów, w jakie przyodziani są dorośli i dzieci, wstydziłby się w Polsce – każdy szanujący się „dziad” (pan żebrak, jak mawiała

małeńka siostrzyczka mojego szkolnego kolegi). Darujcie, że wtrącę w tym miejscu opis zdarzenia, którego świadkiem byłem w Krakowie przy naszej furcie klasztornej. „Ubogi” zwrócił się do brata Furtiana z prośbą o kilkanaście złotych. Brat wręczył mu garść drobników. Żebrak spojrzał pogardliwie na to co otrzymał i natychmiast rzucił je Bratu w twarz, wyrzekając z oburzeniem na skąpstwo zakonników. Pamiętam wypadki, gdy żebracy wyrzucali lub wylewali jedzenie, które było smacznie przygotowane przez naszego Brata kucharza. To są rzeczy całkiem niezrozumiałe dla tutejszych ludzi. Najdrobniejszy pieniążek, skiba chleba i każdy przyodzievek są przyjmowane ze wzruszającą radością i wdzięcznością. Mam na to dowody, uprawiając mikroskopijne pokątne dożywianie.

Przychodzą do nas chłopcy ze starszych klas szkoły podstawowej, by z niezmąconą cierpliwością pomagać mi w nauce kirundi. Wiem, że chcąc się im jakoś za to odwdziżyć, nie mogę się wykupić ofiarowaniem pobożnego obrazeczka (zresztą i one kończą się w zawrotnym tempie). Staram się więc po kryjomu (będąc na stażu jestem przecież w gościnie) uszczknąć coś na śniadanie, a czasem z obiadu, by dać dzieciom parę kawałków chleba lub cokolwiek innego (z wyjątkiem sałaty, której tutejsi nie uznają), ale nie podobna w ten sposób wypełnić nawet jednego zgłodniałego brzucha.

Uśmiejecie się chyba z takiej partyzantki. Macie zupełną rację. Do łez można się uśmieć z takiego „miłosierdzia”. A chleb powszedni staje człowiekowi kołkiem w gardle. Dla zwiększenia wisielczego humoru, opowiem Wam, jak dwunastego lutego zaimprovizowałem „opłatek”.

Po odwiedzinach pewnej Szwajcarki, zostało trochę cukierków. Poczęstowałem nimi katechistki. Jedna z nich przyprowadziła do mnie dwie młode matki z drobnymi dziećmi, bym poczęstował je cukierkami. Przyniosłem cukierki. Tymczasem otoczyła nas gromada dzieci, znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, bo nie było cukierków dla wszystkich. Starłem się wytłumaczyć katechistce i matkom, że nie sposób dawać cukierki jednym dzieciom, nie dając także innym. Katechistka znalazła błyskawiczne rozwiązanie. Rozkazała dzieciom, by od nas odeszły. Ich uśmiechnięte buzie posmutniały, ale potulnie odeszły natychmiast. Poczęstowałem dzieci, matki i katechistkę cukierkami. Reszta cukierków młyńskim kamieniem zwała mi się na serce. Aż do bólu zrozumiałem, jak podle postąpiłem. Zawiodłem boleśnie czyjeś spodziewanie – spodziewanie dziecięce. Kobiety z mlaskającymi dziećmi odeszły zadowolone. Zostałem sam.

Wróciłem do przerwanej nauki kirundi. Absolutnie nie mogłem się skupić. Zastanawiałem się, czy nie powinienem jednak resztę cukierków rozczęstować wśród dzieciaków, które teraz zamiatały i porządkowały podwórze misyjne i plac przed kościołem. Uświadomiłem sobie jednak, że zawód i gorycz dzieci, dla których zabrakłoby cukierków byłoby tym większe. Nie wiedziałem co robić. Myśli tłukły mi się po głowie, jak muchy w latarni.

Nagle olśnienie. Przypomniałem sobie, że zostało mi jeszcze część opłatków wigilijnych przysłanych obficie przez O. Bogusława. Chwyciłem je i jak wariat pognałem do dzieciaków. Otoczyły mnie jak kurczęta. Wydawało mi się, że uśmiechnięte oczy i usta, że promieniujące buzie nie mają już do mnie żalu. Może zbyt łatwo się rozgrzeszyłem. Gdybyście jednak widzieli, jak ciemne paluszęta delikatnie ujmowały biały opłatek, jak najpierw uważnie oglądały wyciśnięte obrazki i jak następnie małymi kęsami długo, długo rozkoszowały się smakiem opłatka, może odnieśliście podobne wrażenie. Dostały

wszystkie. Z trzema pozostałymi opłatkami wróciłem do mieszkania. Zastanawiałem się jednak, czy nie odstawiłem parodii ewangelicznego cudu rozmnożenia chleba. Mam przejmującą świadomość, że niestety, nie rozmnożyłem pokarmu i nie nasyciłem zgłodniałych dzieci. Przypadkowo jednak stałem się świadkiem cudu rozmnożenia radości w sercach dzieci. Zdumiewającym wyrazem tego był taniec jednej z dziewczynek, która wcześniej skończyła swój opłatek. Inna mniejsza (może siostra) podzieliła się z nią swoim. Ta zaś nie zjadła natychmiast otrzymanego kawałka opłatka, ale trzymając go w prawej ręce nad głową – zaczęła tańczyć. Tutaj zaś taniec zawsze coś wyraża i potrafi coś wyrazić. Inne dzieci zaczęły się także dzielić resztkami opłatków. Piękniejszego „opłatka” nie widziałem w swoim życiu.

Może więc powyższe migawki wzięte z codzienności, usprawiedliwią mój końcowy apel.

Zróbcie co w Waszej mocy, by uzyskać pozwolenie na wysłanie z Polski do Burundi paczek żywnościowych, nie podlegających ocłeniu (mleko w proszku, lub kondensowane, cukier, kaszę itp.) i odzieżowych (używanej bielizny i ubrań), szczególnie dla dzieci.

Podobno do uzyskania takiego pozwolenia dla Indii przyczynił się p. J. Dobraczyński – nie jako pisarz (choć i to chyba odegrało także jakąś rolę), ale jako poseł. „Szukajcie... pukajcie...”.

Wy w Polsce naprawdę jesteście bogaczami. Ja także jestem bogaczem: mam przyzwoite mieszkanie, porządne ubranie na grzbiecie i jedząc trzy razy dziennie nie bywam głodny. Spętani jesteśmy jednak „zakłębem złotej kaczki”. Wola ludzka potrafi jednak przekraczać zakłębte kręgi. Serce zaś potrafi być potężniejsze niż najnowocześniejszy taran.

Zamierzam się także pokłonić bogatym ziomkom z Zachodu. Na Was liczę jednak szczególnie, bo Wam serca nie zarosły sadłem.

Wasz brat – biały Murzyn
O. Kasjan od Matki Bożej k. b.
JERZY DEZOR

Kochany Ojciec.

Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję za słowa pełne życzliwości i przyjaźni. Opłatki otrzymałem 17 grudnia ub. roku. Kantyczki dotarły za mną do Rumezy 25 lutego br. Wstępuje więc nadzieja w serce, że i kasety z lekcjami j. francuskiego nie przepadły. Nieznajomość języków jest koszmarem. Wiadomo jednak: „nie święci garnki lepią”. Może taka trudna gimnastyka uchroni nas od sklerozy umysłu i serca. Ślę uczucia braterskie.

Oddany
O. Kasjan od Matki Bożej k. b.

KS. BP JÓZEF MARTIN:

KURIA BISKUPIA BURURI
D.S. 140 BUJUMBURA

Bururi, 31 marca 1972 r.

O. BOGUSŁAW WOŹNICKI OCD
Lublin ul. H. Sawickiej 14

Tym, który pisze w dniu dzisiejszym ten list jest dobrze znany Przewielebnemu Ojcu misjonarz, Biskup – misjonarz, Wasz ubiegłoroczny gość, który podróżował po kraju z Waszym współbratem Leonardem Kowalówką.

Ponieważ znane jest nawet tu, w Afryce, zaangażowanie Drogiego Ojca w sprawy misyjne i godna podziwu hojność dla misji w Burundi, dlatego uważam sobie za obowiązek podziękować za trud i z okazji Świąt Wielkanocnych złożyć najserdeczniejsze życzenia Ojcu i całej wspólnotie zakonnej lubelskiego domu.

Następnie chciałbym przekazać dobre wiadomości o współbraciach. Ojcowie Teofil i Jan Kanty przebywają obecnie na kursie języka krajowego.

Podczas gdy siedmiu innych pobierało na kursie początki języka kirundi, oni poznawali ten język przez pracę parafialną. Tych właśnie siedmiu Ojców jest teraz na stażu misyjnym i doskonali znajomość dwóch naraz języków, miejscowego (kirundi) i francuskiego.

Obecnie pracują z sobą jeden od drugiego, ale właśnie dlatego może czynią szybkie postępy w opanowaniu tych języków. W najbliższej przyszłości będą mieli powierzoną jedną parafię i będą mieszkać razem, a kto wie, czy nie powierzę Ojcom i drugiej parafii, bo o tym myślę.

Druga sprawa, z powodu której piszę do Ojca Sekretarza, to planowany przyjazd do Polski Wiceprzewodniczącego Konferencji Biskupów Ruanda – Burundi (10 diecezji). Jeżeli to będzie możliwe, to chciałby przyjechać do Polski na początku maja, aby przedstawić plan pomocy dla 10 diecezji Ruanda – Burundi. Przesyłam w załączeniu ten plan sporządzony przeze mnie, a przełożony na język polski przez o. Leonarda.

A zatem w pierwszych dniach maja przybędzie do Polski, aby wziąć udział w narodowej pielgrzymce do Częstochowy J. Eksceleńcja Biskup Jan Chrzyciel Gahananyi, Ordynariusz Butare z Ruanda, a jednocześnie Wiceprzewodniczący naszej biskupiej konferencji. Pragnie podobnie jak ja, zobaczyć Wasz kraj, o którym słyszał wiele dobrego. Ksiądz Biskup jest Afrykaninem z Ruanda.

Pisałem w tej sprawie do Przewielebnego Ojca Remigiusza Czecha, Waszego Prowincjała, prosząc go, by wyznaczył mu na towarzysza podróży któregoś z Ojców Karmelitów jako tłumacza.

Mnie towarzyszył O. Bazyli. Myślę, że w swej podróży nie ominie Lublina, gdzie przebywa człowiek całą duszą oddany sprawie misji afrykańskiej.

Oto Drogi Ojciec, jeszcze jeden dodatkowy trud, który spada na Waszą Wielebność. Czynię to tylko dlatego, że znam bezgraniczne oddanie Drogiego Ojca sprawom misji.

Najserdeczniej Ojca Przeora pozdrawiam, jak również wszystkich współbraci w Chrystusie.

Ks. Bp Józef Martin

PLAN POMOCY MISYJNEJ W POLSCE KOŚCIOŁOWI W RUANDA - BURUNDI

- SCHEMAT:**
1. Zasada Kolegialności podstawą tej pomocy.
 2. Sytuacja Kościoła w Ruanda – Burundi.
 3. Potrzeby, zależnie od różnorodnej działalności duszpasterskiej w Ruanda – Burundi.
 4. Kilka elementów umowy.

1.Zasada Kolegialności podstawą tej pomocy.

Pismo niniejsze jest gorącą prośbą (instanter, instantius, instantissim), z jaką Kościół w Ruanda - Burundi zwraca się do Kościoła w Polsce, poprzez tych, którzy są zań odpowiedzialni, tj. Biskupów. Biskupi stanowią jedno Kolegium Apostolskie, solidarnie odpowiedzialni za apostołstwo w świecie, pod władzą Papieża.

Kościół w Polsce, dzięki swemu potencjałowi apostołskiemu i misyjnemu, mógłby wziąć odpowiedni udział w pracy nad zaszczepieniem Kościoła w Ruanda – Burundi. Oczywiście, że Kościół semper et ubique jest w stadium budowania się.

Pomoc ta przyniosłaby Kościołowi w Ruanda – Burundi ubogacenie, a Kościołowi w Polsce otwarcie misyjne, a to już będzie dla niego zyskiem.

Czy siły żywotne Kościoła w Polsce nie mogłyby przynieść określonej pomocy dla lepszego zaszczepienia Kościoła w Ruanda – Burundi?

Praca ta objęłaby strefę najbardziej otwartą dla chrystianizmu, w kraju górzystym o zdrowym klimacie i najgęstszym zaludnieniu w Afryce (7.200.000 dusz na obszarze liczącym 56.000 km²).

Ekipy polskie mogłyby się łatwo spotkać i kontaktować w celu wzajemnej pomocy, znajdując również tu prawdziwe braterskie przyjęcie.

Co ze swej strony mógłby przynieść Kościół w Ruanda – Burundi Kościołowi w Polsce?

Należy zaznaczyć, że Biskupi Ruanda – Burundi, ewangelizują dwa różne, lecz bratnie kraje, tworzą jedną tylko Konferencję Biskupią. Ponadto jest w użyciu jeden język, tak w Ruanda jak i Burundi. Języki tych krajów są bardzo spokrewnione.

2.Sytuacja Kościoła w Ruanda – Burundi.

Ludność:	Ruanda	Burundi	Ogółem
Liczba ogólna	3.650.000	3.550.000	7.200.000
- Katolicy	1.300.000	3.300.000	
- Katechumeni	430.000	170.000	600.000

- Animiści	1.530.000	1.210.000	2.740.000
- Protestanci	370.000	140.000	510.000
- Muzułmanie	20.000	30.000	50.000

Struktura apostołatu:

Diecezje	5	5	10
Parafie	88	87	173
Pomocnicze (główne)	261	534	796
(drugorzędne)	1.602	1.007	2.609

Nauczanie Ruanda Burundi Ogółem

- Uczęszczający na naukę czytania i pisanie *	178.572	315.635	494.207
-Uczęszczający do szkół **	197.738	181.530	379.268

* Całkowite utrzymanie spoczywa na diecezjach

** Prowadzenie według programów oficjalnych – utrzymuje je Państwo

- Szkoły normale (pedagogiczne)	15	16	31
- Kolegia i małe Seminarium	9	9	18
- Wyższe Seminarium	2	1	3

Średnia zasięgu apostołstwa poprzez parafie:

- Katolicy	15.000	23.000	38.000
- Katechumeni	5.000	2.000	7.000
- Animiści	17.000	14.000	31.400
Ogółem:	37.400	39.000	76.000

Rozmieszczenie kapłanów w duszpasterstwie:

10%	prace ogólne
20%	nauczanie
70%	praca parafialna i katechizacja (szkoły itp.)

N. B. Duszpasterstwo parafialne i katechizacja są zapewnione w 175 ośrodkach parafialnych, Jak również pomocniczych, które zależą od parafii (796 – 2609)

Poszczególne sakramenty:

- Chrzty dorosłych	51.741	19.065	70.806
- Chrzty dzieci	50.843	59.298	110.141
- Spowiedź	1.528.373	3.231.360	4.759.733
- Komunie	12.162.260	16.144.506	28.306.766
Komunia Wielkanocna	627.460	952.765	
	(71,3%)	(73,8%)	

3. Potrzeby zależnie od różnorodnej działalności duszpasterskiej.

A. **Różne prace duszpasterskie:**

* o zasięgu parafialnym:

- Kapłani: pracują zasadniczo po trzech; katechizacja rozmaitych grup i udzielanie sakramentów tak w ośrodkach parafialnych (głównych), jak i w ośrodkach pomocniczych. Każdy kapłan przebywa najmniej 10 dni w miesiącu w ośrodku pomocniczym.
- Bracia zakonni: katechizacja i prowadzenie szkół.
- Zakonnice: katechizacja – prowadzenie szkół – ośrodki zdrowia – świetlice – ośrodki dożywiania – alfabetyzacja.

* o zasięgu diecezjalnym:

- Kapłani: objęcie katedr profesorskich w wyższym seminarium duchownym oraz w średnich między-diecezjalnych.
- Laicy – zakonnice: prace społeczne, leczenie.

N. B. Istnieją i działają różne rady do badań prac duszpasterskich.

- w ośrodkach pomocniczych i parafialnych
- w dekanatach – prezbiterium
- w diecezjach

B. **Potrzeby:**

1. Główną potrzebą w Ruanda – Burundi jest konieczność pomnożenia parafii: każda parafia, uwzględniając podział zaludnienia na pagórki (w Ruanda – Burundi nie ma wsi), powinna by obejmować najwyżej 20 tys. dusz na trzech kapłanów i jeden dom zakonny. Praktycznie liczba parafii winna być podwojona (zob. średnie zasięgi apostołstwa przez parafię).
2. Potrzeba personelu wyspecjalizowanego odnosi się głównie do profesorów, tak w kolegiach i małych seminariach, jak w wyższych seminariach.

4. Kilka punktów przyszłej umowy.

1. Posłanie - Misja jest dziełem Episkopatu Polskiego. Biskupi przysyłają kapłanów „FIDEI DONUM”, zakonników, zakonnice, czy też katolików świeckich. Egzemplarz zakonników będzie w pełni uszanowana zależnie, od poszczególnych Reguł i przepisów o życiu wspólnym we wszystkim, co dotyczy pracy duszpasterskiej zwierzonej im.
2. Podstawowa umowa zostanie zawarta na szczepku obydwu Konferencji Biskupich. Na tej umowie opierałyby się poszczególne umowy, bądź to z Biskupami diecezji, bądź to ze Zgromadzeniami Zakonnymi.
Umowy z tymi ostatnimi mogą się wzorować na protokole przeprowadzonym między diecezjami, a Ojcami Karmelitami Bosymi z Polski, z uwzględnieniem zakładania tubylczych wspólnot zakonnych.
Katolicy świeccy mogliby być związani albo z konferencją Episkopatu Polskiego, (zależnie od przypadku) albo z diecezją albo...
3. Episkopat Polski zatroszczyłby się o zamianowanie jednego lub dwóch misjonarzy polskich odpowiedzialnych, (przewodniczących danej grupie) tak w Ruandzie jak w Burundi. A to w celu udostępnienia spotkań, o czym mowa w pkt 1.
4. Całość pracy apostolskiej wymaga zabezpieczenia. Okres zaangażowania się powinien trwać najmniej 5 lat. Okres ten jest właściwy odnośnie kapłanów „Fidei domun”. Mógłby być natomiast krótszy dla katolików świeckich, ten sam okres lub dłuższy dla zakonników. Ojcowie Karmelici Bosi wybrali 6 lat. Zaangażowanie powyższe należałoby odnawiać w ciągu 5 lub 3 lat. Aby utrzymać ciągłość pracy apostolskiej należy zapewnić wymianę, przez dosłanie sił zastępczych oraz dokonywać jej rok przed odjazdem zastępowanych, a to w celu uniknięcia przerwy w pracach, wyjąwszy oczywiście wypadki, gdy zastępujący ponownie się angażuje.
5. Biskupi Ruanda – Burundi pragną, aby pomoc udzielana przez Polskę obejmowała stopniowo dwie parafie w każdej z dziesięciu diecezji Ruanda – Burundi. To przedstawiałoby odnośnie pracy parafialnej od 60 do 70 kapłanów i od 100 do 120 zakonnic. Parafie w części już utworzone trzeba rozwijać, względnie zakładać nowe.
6. Styl pracy i współpracy: w zależności i pod jurysdykcją Ordynariusza miejscowego w Ruanda – Burundi. Konieczność pracy wspólnej w parafii (grupa złożona z trzech) w dekanacie, w diecezji.
7. Okres wprowadzający:
 - a) Uprzednia znajomość języka francuskiego obowiązkowa. Język ten jest punktem wyjścia do nauki języków:
- k i n y a r w a n d a i k i r u n d i.
Ponadto jest on językiem krajowym, używanym w stosunkach oficjalnych i innych, więcej niż kirundi w Burundi, a kinyawanda w Ruandzie.
Jak zorganizować studium teoretyczne i praktyczne języka francuskiego?
 - b) Staż języka „rundi lub ruanda” według ustalonych norm na kursie (4 do 6 miesięcy). Pozwala on zdobyć podstawową znajomość, która będzie się rozwijać przez praktykę i używanie w czasie pracy duszpasterskiej i wypełnianie obowiązków.

- c) Po ukończeniu tego stażu, misjonarz zostaje włączony w pełni w prace duszpasterskie diecezji, która go przyjęła. Staje się misjonarzem w pełni z tego samego tytułu i na tych samych warunkach, jak inni misjonarze, kapłani, zakonnicy, zakonnice, czy laicy w diecezji. Jest więc przygotowany, by objąć wszystkie obowiązki zależnie od swoich zdolności i potrzeb.

Od O. ELIASZA:

J.M.+J.T.

Rutana, dn. 24.04.72

Przewielebny i Drogi Ojciec Sekretarzu.

Ponieważ otrzymałem zdjęcia z Rzymu, więc spieszę przesłać je Drogiemu Ojcu. Wiem, że wszyscy oczekują wiadomości z Burundi. Co u nas słychać? Powoli wprawiamy się w pracę na misji.

Właśnie wczoraj wrócił O. Leonard z „wyprawy” misyjnej. Był przez cztery dni na „succursale”, czyli na małej placówce pomocniczej. W każdym dniu miał wiele spowiedzi, udzielał sakramentów, uczył dzieci i katechumenów katechizmu, rozmawiał z ludźmi. Był po prostu do dyspozycji przez cztery dni. Kapłan bowiem odwiedza taką placówkę tylko co dwa miesiące, więc gdy zjawi się kapłan, musi wiele spraw załatwić. Na taką placówkę idzie lub jedzie kapłan z boyem, który przygotowuje mu skromne posiłki. Dopiero tam, na „succursale”, człowiek uświadamia sobie, że jest w Afryce. Mały pokój dla kapłana jest golusieńki: jest tylko prowizoryczne łóżko, jakiś stolik i krzesło. Czasem i tego nie ma. Trzeba więc brać ze sobą wszystkie rzeczy do spania, mycia, gotowania, itp. ja już sobie zrobiłem listę rzeczy potrzebnych na tę „wyprawę”, żeby czegoś nie zapomnieć. We środę, tj. 26.04 rano O. Przełożony odwiezie mnie samochodem na Succursale Butare. Przyjedzie po mnie w niedzielę, po ostatniej Mszy św. Jeżeli coś zapomnę, to przepadło: od misji dzieli 20 km.

Można by z tego przepuszczać, że znamy już kirundi. Wcale nie. Kazanie, instrukcje katechizmowe mówi się, ale z kartką w ręku. Gorzej, jeżeli ktoś przyjdzie z jakimś problemem, trzeba się dobrze zapocić, żeby zrozumieć, a raczej domyślić się o co chodzi. Zwykle nie ma nikogo, kto by znał francuski.

Od wyjazdu na placówkę pomocniczą dzieli mnie jeszcze dwa dni. Zbieram więc i pakuję potrzebne rzeczy, przygotowuję kazania i „akajambo” (małe słowo) do dzieci. Biorę Oleje św. i wodę chrzcielną, mszał, brewiarz, kielich, hostie itp. itd.

A oto zdjęcia: dzieci przed szkołą w Rutanie. Tu codziennie chodzę, żeby uczyć katechizmu. Mam jedną lekcję na dzień. Na razie.

Matka z dzieckiem na ręku: to trochę nietypowe, kobiety zwykle noszą swe maleństwa na plecach. Trzecie zdjęcie: „abakura ba Kiro” tzn. szefowie młodzieżowej organizacji „Kiro” z O. Leonardem, jako opiekunem. Wszystko to dzieje się w Rutanie.

Z naszymi Ojcami czasem tylko się spotykam. Mamy wszyscy te same kłopoty: język. Wszyscy są zadowoleni i biorą się na serio do pracy.

Kończę pisanie, bo jeszcze muszę przygotować jedno kazanie dotyczące VII przykazania przed wyjazdem na filię.

Dziękuję za pamięć, pomoc i modlitwy, a prosimy o jeszcze.

Serdecznie pozdrowienia w Panu

O. Eliaz k. b.

P.S. Pozdrowienia serdeczne kolegom z kursu: O. Mariuszowi, Jeremiaszowi i O. Andrzejowi K.

O. EPHREM :

COLLEGIO INTERNAZIONALE
CARMELITANI SCAIZI
FACOITA TEOLIGICA
Piazza S. Panorazio 5A-Roma
Telefono 582362

R z y m

Czcigodny Ojcie Sekretarzu.

Najserdeczniej dziękuję za ostatni list oraz biuletyn misyjny. Mimo wielkiego braku czasu, jaki ostatnio przeżyłem, przeczytałem go od deski do deski i dałem innym. Wspaniały. Mam wrażenie, że może wiele dobrego zrobić nie tylko wśród dobrodziejów i sympatyków naszej misji, lecz przede wszystkim wśród naszych Współbraci. Oby ziarno zasiane zaczęło się coraz bardziej rozrastać i stawać się drzewem ewangelicznym, w cieniu którego mogłoby znaleźć schronienie wiele „ptaków niebieskich”, ginących często w spiekocie...

Oddany w Chrystusie
nieg. brat Ephrem k. b.

Od 10 do 13 kwietnia odbyły się w Warszawie DNI SKUPIENIA dla Dyrektorów diecezjalnych i zakonnych PAPIESKICH DZIEŁ MISYJNYCH.

Oto WYTYCZNE W PRACY NA ROK 1972

1. Dopilnowanie efektywnej działalności Papieskiej Unii Misyjnej Duchowieństwa. Według sprawozdania, obowiązki unijne spełnia tylko około 2.000 księży w Polsce. W przyszłych sprawozdaniach oczekujemy dokładniejszych danych: ilu księży należy do Unii i spełnia obowiązki unijne (minimum – odprawienie 1 Mszy św. i składka roczna w wysokości 50 zł).

2. Bardzo poleca się powołanie do życia diecezjalnych komisji misyjnych oraz działalności na terenie poprzez referentów dekanalnych.
3. Nabożeństwo misyjne – należy przekonać innych, że są one realne i konieczne jako środek reaktywowania Papieskich Dzieł Misyjnych. Jeśli jednak nabożeństwa mają spełnić swoje zadanie, czyli osiągać to, co osiągnęliśmy przez działalność Papieskich Dzieł Misyjnych, obok modlitwy i pouczającego słowa o misjach, które pogłębi świadomość misyjną, muszą być nastawione również na zbieranie ofiar materialnych.
4. Pilnujemy celowości w użytkowaniu ofiar misyjnych i dlatego przejmujemy zasadę, że urobek diecezjalny będzie odsyłany do Ośrodka Krajowego. Tylko małe sumy można przekazywać bezpośrednio misjonarzom. Większe należy uprzednio uzgodnić z Ośrodkiem Krajowym. Z zasady na konto ofiar misyjnych diecezja będzie zaliczała tylko te, które przekazane zostaną do Ośrodka Krajowego.
5. Pilnujemy przyjętych w Kościele zróżnicowań w ofiarach na cele misyjne według właściwości poszczególnych Papieskich Dzieł Misyjnych.
6. Działalność misyjna kleryków podlega kierownictwu Dyrektora Diecezjalnego i on nadaje jej kierunek oraz ją kontroluje. Klerycy płacą składki unijne i wyliczają się z urobku na rzecz misji, traktowanego u nas jako fundusz Papieskiego Dzieła św. Pawła Apostoła. W ten sposób uczą się podporządkowanej pracy misyjnej.
7. Poleca bardzo sprawę misyjnych rekolekcji kapłańskich. Dyrektor powinien pilnować, aby w każdym roku kilku kapłanów z diecezji w tych rekolekcjach brało udział.
8. Szczególniejszą troską obejmujemy dzieci i młodzież, by ich uwrażliwić na sprawy misyjne.

Rumoza – góra Songa

2.03.1972

+ Modlitwa misjonarza

Dziękuję Ci Boże
za afrykańskie niebo
za gwiazdy niezakopcone
smrodzinami fabryk
lecz daj mi Boże tych fabryk
lub chleba bochnów tyle
z opoczystej ziemi
ile gwiazd na niebie.

Nie chcę być szatanem
jednak błagam Ciebie
zmień im każdy kamień
w równowagę chleba
bo tu niemal każdy
na kamieniu się rodzi.

Urodziłeś się w stajni
więc ich też nie omijaj
a żdźbła łez pozdejmuj
z wołowych i oślich
oczu misjonarzy
biednym zmień na pokarm
albo na podściółkę
lub na opak Twojej biblii
pozawiażuj nam pyski
bo ziaren w omłotach starcza
dla białych i zmulaconych
Czarni plewy żują.

A może najprościej
wykop im kopalnię
z rudzianymi żyłami
i tchnij by drgnęło tętno
czarnorobocizny
lub wpraw szyby naftowe
w okna czarnych perspektyw
niech błyskają w mrok nieba
pokojową poświatą
z małych lampek radości.

O. Kasjan